



Jessica Matthews



Dla dobra dziecka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- W poczekalni jest zakrwawione dziecko.

Bethany Trahern usłyszała te słowa w trakcie zmieniania podkładów na kozetce w gabinecie izby przyjęć. Zawodowa wyobraźnia natychmiast podsunęła jej przeróżne sceny. Wyprostowała się. W drzwiach stała wysoka, młoda kobieta.

- To dlaczego...? - Przypomniła sobie, kto ma dyżur w rejestracji, i szczególny ton głosu koleżanki przestał ją dziwić. - Zaraz zgadnę, kto cię tak pogania. Rhonda!

Stażystka Katie Alexander uśmiechnęła się. W jej oczach zamigotały wesołe iskierki.

- Zgadłaś.

Beth wróciła do porządkowania kozetki.

- Statystyka... - mruknęła pod nosem, zwijając prześcieradło w kulę.

Katie znowu się uśmiechnęła.

- Nie rozumiem, dlaczego ona pracuje na oddziale nagłych wypadków. Tutaj często leje się krew. Jako rejestratorka powinna zdawać sobie z tego sprawę.

- Ma swoje powody - zauważyła Beth, pomna własnej motywacji, po czym strzepnęła fachowym ruchem czyste prześcieradło i przykryła nim materac.

- Kiedy będziesz gotowa? - zapytała Katie.

- Za kilka minut.

- Wprowadzić tę dziewczynkę poza kolejką, czy jak każdy ma wziąć numerki?

- Ile jest osób?

- Sporo. Tyle że znowu nie zdążymy na kolację.

Beth westchnęła. Kiedy dyrekcja zrozumie, że należy zatrudnić jeszcze jednego lekarza?

- Sprawdź. Może tym razem Rhonda słusznie podnosi raban. Jeżeli dziecko wygląda gorzej niż ten facet ze złamanym paluchem u nogi i kobieta z bólami brzucha, wprowadź je przed innymi.

- Już się robi.

W pośpiechu kończyła słać kozetkę. Był to typowy, piątkowy wieczór w szpitalu miejskim w Mercer i chociaż Beth lubiła swoją pracę, nie znosiła,

gdy ją poganiano. Lepiej nie myśleć, ile prześcieradeł zmieniła od początku dyżuru, czyli prawie przez pięć godzin.

Wygładziła właśnie ostatnie zmarszczki, gdy do gabinetu weszła Katie, pchając fotel na kółkach z dzieckiem. Tuż za nią szła postawna brunetka.

- Jackie Lane i jej mama. - Przysunęła fotel do kozetki. - Jackie spadła z domku na drzewie.

Beth rzuciła okiem na zakrwawiony bandaż na głowie dziecka, plamy krwi na koszulce i podrapane kolano, które wysuwało się z rozdartej nogawki spodni. Tym razem rejestratorka niewiele przesadziła.

Za oknem rozległ się przejmujący odgłos syreny, zwiastujący przybycie kolejnego pacjenta. Unosząc lekko brwi, Beth odesłała Katie tam, gdzie jej pomoc mogła okazać się bardziej potrzebna.

Sama zaś włożyła rękawiczki i pochylając się nad dziewczynką, spostrzegła, że mała jest miniaturką matki. Delikatnie rozwinęła prowizoryczny opatrunek.

- Nie za zimno na zabawy na dworze? - zagadnęła. W tym roku wrzesień był wyjątkowo chłodny.

- Miałam kurtkę - oznajmiła Jackie. - Ten domek jest mojego brata. Obiecał, że pozwoli mi tam wejść, jak będę miała siedem lat. Dzisiaj są moje urodziny. Noga mi się obsunęła i spadłam.

Beth przykryła czystym kawałkiem gazy krwawiącą ranę na czole, wzdłuż linii włosów.

- Z wysoka? - spytała, rozważając możliwość poważniejszych obrażeń.

- Mniej więcej dwa metry - rzuciła matka drżącym głosem. - Upadła na lewy bok i uderzyła głową o kant chodnika. Byłam wtedy w kuchni i wszystko widziałam, ale nie zdążyłam jej powstrzymać. - Zwróciła się do córki: - Miałas poczekać, aż ktoś ci pomoże.

- Czy Jackie straciła przytomność? Pani Lane zaprzeczyła.

- Chyba nie. Byłam przy niej natychmiast. W pierwszej chwili była trochę oszołomiona, ale nie zemdląca.

- To dobrze.

Kobieta otarła oczy chusteczką.

- Przepraszam. Jestem pielęgniarką i nie powinnam podchodzić do tego tak emocjonalnie, ale to zupełnie co innego w przypadku własnego dziecka.

- To zrozumiałe - pocieszyła ją Beth, zastanawiając się, czy sama kiedykolwiek znajdzie się w podobnej sytuacji. Jeżeli jej życie potoczy się tak, jak w ciągu ostatnich kilku lat, było to mało prawdopodobne.

Zauważyła, że Jackie siedzi wciśnięta w róg fotela i trzyma nieruchomo lewe ramię.

- Boli cię ręka?

Dziewczynka przytaknęła i otarła łzy spływające po umorusanej buzi. Beth pogładziła ją po ramieniu.

- Trzeba założyć parę szwów i zrobić prześwietlenie, żeby sprawdzić, czy nie ma złamania. Jak się nazywa twój doktor?

- Lockwood, pediatra - odparła pani Lane.

Na dźwięk tego nazwiska Beth ogarnęło przerażenie, musiała jednak skoncentrować się na pacjentce.

- Jest na dyżurze bardzo dobry lekarz, ale jak zapewne zdążyła się pani zorientować, mamy dzisiaj urwanie głowy. Czy w tej sytuacji wolałaby pani, żeby Jackie zajął się doktor Lockwood? Zatelefonuję do niego.

Pani Lane zastanawiała się przez chwilę.

- To nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby jak najszybciej ktoś się nią zajął.

Beth odetchnęła z ulgą. Może doktor Sullivan wkrótce będzie wolny.

- Zaraz wracam.

Udała się na poszukiwanie siwowłosego lekarza. Znalazła go w innym gabinecie w towarzystwie Katie, trzech pielęgniarek i chirurga.

Minęła obsługę karetki i dwóch policjantów, by podejść do łóżka. Poczowała znajomą woń potu, brudu i krwi. Zorientowała się, że sytuacja jest poważna. Wszystko wskazywało na to, że doktor Sullivan będzie przez pewien czas bardzo zajęty.

W nadziei, że źle oceniła sytuację, spytała:

- Co to za przypadek?

- Rana kłuta. Jama brzuszna - poinformowała ją przełożona

Rose Watson, regulując kroplówkę. - Jego kumple już są w drodze. - Zerknęła na Beth. - Co u was?

- Sądny dzień. Mam dziewczynkę, której trzeba założyć szwy i zrobić zdjęcia, i sporo innych pacjentów, których musi obejrzeć lekarz.

- Zorganizuj dodatkowy personel - wtrącił doktor Sullivan, nie odwracając wzroku od pacjenta na łóżku. - Ten zajmie mi sporo czasu.

- Tak jest. - Beth starała się nie okazać rozczarowania. Było do przewidzenia, że obecność Lockwooda jest nieunikniona. Z ciężkim sercem i złymi przeczuciami ruszyła do telefonu w rejestracji, lecz nim tam dotarła, drogę zastąpił jej Tristan Lockwood.

- Moja pacjentka jeszcze tu jest? Jackie Lane - wyjaśnił niskim, silnym głosem.

- Tak - odparła, czując, jak serce bije jej mocniej na widok człowieka, który nieodmiennie burzył jej spokój.

- Można wiedzieć, dlaczego tak długo czeka na zabieg? -W jego głosie brzmiało zniecierpliwienie. - Czy muszę wam przypominać, że jest to oddział nagłych wypadków i pośpiech jest tu na porządku dziennym?

Już miała na końcu języka ciętą ripostę, lecz w porę się pohamowała. Dyskusje z przełożonymi są jałowe.

- Pańska pacjentka jest w gabinecie numer dwa - odparła, nie spuszczać z niego wzroku.

Zdjął skórzaną kurtkę, rzucił ją na krzesło i ruszył przodem. Kolejny raz uderzyła ją różnica między wysokim i energicznym doktorem Lockwoodem a znacznie niższym i spokojnym doktorem Sullivanem. Zastanawiała się, co skłoniło tego przystojnego, chmurnego mężczyznę do wyboru specjalizacji, która kojarzy się z małąkimi pacjentami i śmiechem.

Ci dwaj stali na przeciwnych biegunach. Brzuchaty Sullivan nosił obszerne garnitury, zaś smukły Lockwood ubierał się w dżinsy i koszulki polo. Pierwszy miał łysinę otoczoną wianuszkami szpakowatych włosów, podczas gdy w ciemnych włosach tego drugiego nie można było dopatrzeć się śladu siwizny. Jeden spoglądał na świat oczami brązowymi jak kasztany, drugi zielonymi.

Starszy miał krzaczaste, siwe brwi i perkaty nos, co w połączeniu z zapachem jego ulubionych miętówek czyniło z niego idealnego kandydata do roli Świętego Mikołaja.

Lockwood natomiast miał jasne brwi, prosty nos i mocno zarysowaną szczękę. Pachniał nieodmiennie wodą o nucie drewna sandałowego, na co chorzy w ogóle nie zwracali uwagi - w odróżnieniu od ich matek i żeńskiej części personelu.

Doktor Sullivan był zawsze uśmiechnięty, Lockwood uśmiechał się wyłącznie do swoich pacjentów.

Zatrzymał się przed drzwiami.

- Rozumiem, że wszystkie inne pielęgniarki są zajęte - rzucił.

- Tak. - Nie pokazała po sobie, jak bardzo uraziła ją sugestia, że wolałaby pracować z kim innym. Pocieszało ją jedno: ta antypatia jest wzajemna.

- Do roboty.

Otworzył drzwi. Już od progu przywitał się z Jackie.

- Jak się ma moja ulubiona siostrzeniczka?

- Nie najlepiej, wujku.

- Skąd się tu wzięłaś?! - W głosie pani Lane zadźwięczała radość. - Myślałam, że przyjdzie do nas lekarz dyżurny.

- Jeny niepokoił się, że długo nie wracacie, zadzwonił do mnie i wszystko mi opowiedział. Pomyślałem, że wpadnę i sam to obejrzę.

- To nie było konieczne - odparła pani Lane, mimo że promienny uśmiech przeczył jej słowom.

- Wiem, ale chciałem to zrobić. - Zwrócił się do dziewczynki: - Postanowiłaś wdrapać się do domku Keitha?

Beth nie słuchała. Obracała w myślach jedno słowo: wujek. Wujek Tristan. Przeraziła się. Teraz już nigdy nie zdobędzie jego uznania.

Już nieraz zastanawiała się, dlaczego ten człowiek wyprowadza ją z równowagi. Dlaczego w jego obecności traci wszelką pewność siebie, jak studentka pierwszego roku kursu pielęgniarskiego? Dlaczego po roku pracy w szpitalu nadal cierpi na tę przypadłość?

To przez te dłonie, pomyślała, gdy podnosił głowę dziewczynki, by obejrzeć skaleczenie. Widziała już mnóstwo rąk różnych lekarzy, lecz żaden nie miał takich długich i silnych palców, takiej oliwkowej, gładkiej skóry.

Przyznaj się, ponaglało ją sumienie.

Dobrze, pomyślała nieco zirytowana. Ponieważ ten człowiek dokładnie odpowiada moim dziewczęcym wyobrażeniom o królewiczu z bajki.

Nie zapomni tego pierwszego dnia, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Porażona tym podobieństwem straciła głowę... oraz zaprzepaściła okazję pokazania się z dobrej strony temu atrakcyjnemu mężczyźnie. Upuściła ampułkę z epinefryną przeznaczoną dla dziecka z ostrym atakiem alergii, przez co opóźniła podanie leku. Dziecko na szczęście nie ucierpiało, czego nie można powiedzieć o ambicji świeżo upieczonej pielęgniarki.

Pod okiem doktora Sullivana odzyskiwała wiarę w siebie, jednak w tajemniczy sposób opuszczała ją ona, ilekroć w pobliżu pojawiał się doktor Lockwood.

Jej romantyczne marzenia prysły jak bańka mydlana. Tristan Lockwood okazał się wprawdzie łądząco podobny do jej królewicza z bajki, ale nie dało się tego powiedzieć o jego charakterze. Od tamtego incydentu Beth wyczuwała jego antypatię i starała się trzymać od niego z daleka. Lepiej nie pchać się tam, gdzie nas nie chcą: to kolejna nauczka od losu. Poza tym dobrze sytuowani pediatrzy nie zadają się z pielęgniarkami, które ledwie wiążą koniec z końcem.

Do rzeczywistości przywołał ją niski głos Lockwooda.

- Trzeba ci założyć szwy, dziecko.

- Będzie bolało? - zaniepokoiła się Jackie.

- Trochę. Zrobię ci zastrzyk i już nic nie poczujesz. Zerknął na podręczny stolik, odnotował z zadowoleniem obecność zestawu do szycia, po czym zwrócił się do dziewczynki:

- Sprawdźmy, czy nie stało ci się coś więcej.

Beth odetchnęła z ulgą. Jak to dobrze, że wszystko przygotowała przed jego przyjściem. Chwilę później znowu była spięta.

- Gdzie są zdjęcia?

- Jeszcze... nie zrobione... - wykrztusiła.

- Jak to?!

- Nie otrzymałam takiego polecenia.

- Wobec tego teraz je otrzymujesz. Błyskawicznie.

- Tak jest, doktorze.

Podniosła słuchawkę telefonu. Niestety, nie usłyszała niczego dobrego. Teraz dopiero będzie się na niej wyżywał. Wzięła głęboki oddech.

- Radiolog niedługo przyjdzie. Mają opóźnienie z powodu awarii sprzętu.

Popatrzył na Jackie.

- Zamiast beczynnie czekać, założę ci szwy.

- Nie wystarczy plaster?

- Szybciej się zagoi i nie będzie potem brzydkiej blizny. Chyba nie chcesz, żeby chłopcy ci dokuczali? - przekonywał dziewczynkę.

Uwaga ta przypomniała Beth o jej znamieniu. Dotknęła brzegu białego golfu, który często wkładała pod górę stroju pielęgniarskiego. Przypomniały się jej przykre wspomnienia z własnego dzieciństwa.

- Wujek Tristan zna się na tym - zauważyła matka.

- Wiem - przyznała niechętnie Jackie.

- Zostanie blizna? - zapytała kobieta na stronie.

- Nieznaczna. Prawie niewidoczna, bo tuż przy linii włosów. Jeżeli uważasz, że powinien to zrobić specjalista...

Pan Lane uśmiechnęła się.

- Zaufam ci.

Tristan Lockwood zwrócił się do Beth:

- Proszę przemyć ranę. Nie widzę żadnych obcych ciał, ale lepiej nie ryzykować.

Beth wyjęła odpowiednią butelkę z szafki, odkręciła ją i obchodząc Lockwooda, podeszła do dziewczynki. Zrezygnowana wzięła głęboki oddech, delektując się jednocześnie zapachem drewna sandałowego.

Czując na sobie jego wzrok, drżącą ręką przemywała ranę. Po raz pierwszy od wielu lat zapragnęła ukryć czerwone znamię.

Skupiła się na wykonywanej czynności. Gdy nagle zadzwonił telefon, ręka jej drgnęła i zawartość butelki wylała się na kolana Lockwooda.

Przeżona wpatrywała się w coraz większą plamę na jasnych dżinsach.

- Przepraszam...

Fala gorąca zalała jej twarz. Poczowała, że płonie ze wstydu. Gdy zerknęła na niego, ujrzała na jego przystojnej twarzy bezgraniczne zdumienie. On także wpatrywał się w kompromitującą plamę. Potem nabrał powietrza w płuca, bez słowa odwrócił się i podniósł słuchawkę.

- Lockwood, słucham... - warknął.

Beth dokończyła przemywanie rany. Osuszając ją sterylnym gazikiem, z trudem powstrzymywała łzy.

Zobaczyła kałużę na podłodze, pospiesznie chwyciła więc papierowy ręcznik i ją wytarła. Zanim Lockwood odłożył słuchawkę, wszystko było już posprzątane. Pozostały niestety mokre spodnie.

- Przepraszam - powiedziała półgłosem.

Czekała wręcz na jakąś uszczypliwą uwagę pod swoim adresem. Zdarzały się jej przy nim różne wpadki, ale jeszcze nigdy tak poważna. I to w obecności członków jego rodziny.

Spodziewane gromy nie posypały się na jej głowę. Bez słowa komentarza stwierdził jedynie:

- Zamelduj się u przełożonej. Nie będziesz mi potrzebna. Ta zwiędła odprawa spowodowała przyływ kolejnej fali wstydu.

- Ale co z..?

- Poradzę sobie.

Nie wiedzieć czemu jego opanowanie sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej. Potrafiła znieść napaść słowną, ale nie taki lodowaty spokój. Upokorzona, umyła ręce i wyszła z gabinetu.

Tristan zerknął przez ramię na swoją starszą siostrę.

- Nic nie mów - ostrzegł, widząc jej szeroki uśmiech. - Milcz.

- Zgoda - obiecała, nagle poważniejąc. - Żal mi jej.

- Ale to ja będę paradował po szpitalu w mokrych spodniach - zauważył, wkładając rękawiczki. Czuł na skórze nieprzyjemną wilgoć. Może uda mu się znaleźć jakiś niepotrzebny fartuch, żeby wyjść ze szpitala. Jeżeli zobaczy go któryś z kolegów, do końca życia nie opędzi się od niewybrednych żartów.

Nancy roześmiała się.

- To był przypadek, Tris.

- Mhm. - Skrzywił się. - Jesteś gotowa, Jackie? - zwrócił się do dziewczynki.

Spoglądała na niego z lękiem, w końcu zacisnęła zęby i zamknęła oczy. Matka tymczasem przykucnęła obok fotela, by wziąć ją za rękę.

Przyciągnął stopą stółek, usiadł i wstrzyknął Jackie lidokainę.

- To jest najmniej przyjemne - zapewnił ją, wyrzucając niepotrzebną już strzykawkę.

Nancy objęła dziecko.

- Tata będzie dumny, jak mu wszystko opowiemy. Jackie uśmiechnęła się blado.

Tristan zakładał pierwszy szew, bacznie obserwując reakcję pacjentki. Ściągnęła brwi, zmarszczyła nos, ale bardziej nie protestowała. Środek znieczulający zadziałał.

- Beth jest nowa?

Nie dał się zwieść temu niewinnemu pytaniu. Siostrzyczka postanowiła zaspokoić swą ciekawość i nie da mu spokoju, dopóki nie dowie się wszystkiego.

- Nie. Pracuje tu od zeszłej jesieni.

- To skąd to iskrzenie? - spytała z namysłem.

- Co takiego? - Podniósł na nią wzrok.

- Nie udawaj. Lepiej mi wyjaśnij, dlaczego mój brat, uosobienie dobrych manier, w obecności pewnej pielęgniarki zmienia się potwora?

- Beth jest nieostrożna.

- Nigdy nie zdarzyło ci się żadne potknięcie w obecności osoby, na której chciałeś wyrzucić dobre wrażenie?

Przypomniały mu się czasy studenckie oraz kilka potknięć, o których wolałby zapomnieć.

- Raz albo dwa - przyznał.

- Wiec chyba rozumiesz, o czym mówię.

- To nie to samo - obstawał przy swoim. - Ona ma stale jakieś przygody. Wiem, też jesteś pielęgniarką, ale Beth nie zasługuje na twoje współczucie. Współczuj raczej pacjentom.

- Jesteś bardzo surowy - oznajmiła Nancy. - Przyjęła nas bardzo fachowo. Nie zachowywała się jak osoba speszona albo roztrzępana, dopóki nie przyszedłeś.

- Opanuj się. To przecież ja zostałem znieczulony.

- Nie mówię o tym - zniecierpliwiała się Nancy. - Na pewno poczuła się upokorzona. Lekarze potrafią wyładowywać swoje humory na pielęgniarkach. Nie należysz do wyjątków.

Wyczuł, że Nancy chce wyrobić w nim poczucie winy. Postanowił się nie poddać.

- Tak już jest. Pielęgniarki muszą być gruboskórne. Nie mamy czasu ich rozpieszczać.

- Uprzejmość to nie to samo co rozpieszczanie. Nie mogła zamówić zdjęć bez polecenia lekarza, nawet ja to pamiętam. - Stała przed nim, krzyżując ramiona na piersiach. - Musisz ją przeprosić.

- Zastanowię się - odparł w nadziei, że taka odpowiedź ostatecznie ją usatysfakcjonuje. Nałożył opatrunek. - Nie zamocz ani nie zabrudź tego miejsca. I przyjdź do mnie za tydzień na zdjęcie szwów, jasne, żabko?

- Nie jestem żabką, wujku. Jestem dziewczynką - upomniała go Jackie, uśmiechając się szeroko.

Udał zdumionego.

- Jak mogłem o tym zapomnieć?! Jackie zachichotała.

- Bo jesteś roztrzępany.

W tej samej chwili zjawiała się pielęgniarka, by zabrać Jackie na radiologię. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Nancy podjęła temat.

- Beth jest całkiem ładna, nie uważasz?

Czteroletnie doświadczenie nauczyło go, do czego siostra zmierza. Miał za sobą męczący dzień i nie chciał wysłuchiwać kolejnego wywodu o

konieczności odbudowania życia prywatnego. Bawił się gumką recepturką leżącą na stoliku.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Dlaczego?

- Jeny'ego też tak nękaś?

- Nie, bo ty pochłaniasz cały mój czas i całą moją energię. Wracajmy do Beth - oświadczyła.

- Niech ci będzie.

Może da mu spokój, jeżeli jej ulegnie? Przymknął oczy i zamyślił się. Przyznaje, że Bethany jest ładna. Ma subtelne rysy, wydatne kości policzkowe, lekko zadarty nos i piwne oczy. Rude włosy związane na karku skojarzyły mu się z lwicą, którą w lecie wraz z siostrzeńcami oglądał w ogrodzie zoologicznym.

Poruszała się z podobnym wdziękiem jak to zwierzę zamknięte w klatce. Uświadomił sobie również, że w jej spojrzeniu tli się podobna nieufność. Może Nancy ma rację? Czy to przez niego? Czy przez kogoś innego?

Stłumił ciekawość. Życie Bethany Tranem zupełnie go nie interesuje. Ma własne problemy. Nie będzie się angażował w sprawy innych ludzi.

Nancy przyglądała mu się uważnie.

- Chyba nie robiłeś komentarzy na temat jej znamienia?

- Miej do mnie trochę zaufania, nie jestem aż tak nieokrzesany. Poza tym to nic wielkiego.

Kiwnęła głową, zadowolona z jego odpowiedzi.

- Jest też odpowiedniego wzrostu - rzuciła.

- Do czego zmierzasz? - zdziwił się.

- Kilka centymetrów niższa od ciebie. Ładnie razem wyglądacie.

- Przestań - mruknął.

- Zastanów się, czy nie warto zaprosić jej na kolację.

- Co?! - W tej samej chwili gumka pękła i strzeliła prosto w ścienny kalendarz.

Nancy postanowiła uprzedzić jego wymówki.

- Sam przyznałeś, że to znamię wcale jej nie szpeci, że jest ładna...

- Tego nie powiedziałem.

- Ale też i nie zaprzeczasz.

- Nie, ale...

- No widzisz - triumfowała. - Zaprosz ją na kolację i przepros.

Dziewczyna zapewne nie może myśli pozbierać ze zdenerwowania, kiedy

jesteś w pobliżu. Pokaż się jej z dobrej strony. To ją uspokoi i skończą się wasze problemy.

- Ja nie mam dobrej strony - stwierdził nieprzekonany. Traciła cierpliwość.

- Skrzętnie ją ukrywasz, ale ja nie dam się oszukać. - Jej głos złagodniał.

- Jesteś jeszcze młody. Możesz założyć nową rodzinę. Masz dopiero trzydzieści dwa lata. - Położyła mu rękę na ramieniu.

- Masz już dosyć podrzucania mi swoich dzieci? - zażartował, starając się wyciszyć narastający ból.

- Zasłużyłeś, żeby mieć własne. Nie czekaj, aż będzie za późno.

Do gabinetu wtoczył się fotel z małą Jackie. Tristan Lockwood skorzystał z okazji, by przerwać kłopotliwą rozmowę, i pochwycił kopertę ze zdjęciami. Lepiej zająć się sprawami zawodowymi niż życiem prywatnym, lub wręcz jego brakiem.

- Co my tu mamy? - Wsunął klisze do przeglądarki. - Nie widać żadnego złamania. Masz szczęście. Obandażujemy ci rękę i za parę dni wszystko będzie w porządku.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i w progu stanęła Rose Watson.

- Właśnie pana szukam, doktorze. Otrzymaliśmy informację o wypadku drogowym. Jedną z poszkodowanych jest kobieta w ciąży. Doktor Vincent pyta, czy mógłby pan asystować przy cesarskim cięciu, jeżeli zajdzie taka konieczność.

- Oczywiście.

Tristan poklepał Jackie po ramieniu.

- Odłóż dla mnie kawałek urodzinowego tortu.

- Jasne - odparła dziewczynka, zeskakując z fotela. - Chodźmy już, mamusiu. Chcę obejrzeć prezenty.

Nancy rozpromieniona wyprowadziła córeczkę na korytarz.

- Widzę, że jesteś już zupełnie zdrowa - zauważyła. Tristan tymczasem szedł w stronę stanowiska pielęgniarek.

Byłoby zdecydowanie lepiej, żeby ciężarna i jej dziecko przeżyli. Rozważał szereg komplikacji, od najmniej do najbardziej poważnych. Niezależnie od tego, co zastanie, zrobi wszystko, co w jego mocy, by dziecko wróciło do rodziców.

Beth przysiadła na brzegu krzesła w gabinecie Elaine Miller.

- Przykro mi, ale nie mam wyjścia - zaczęła przełożona zmiany.

Beth była przygotowana na najgorsze. Chodziły pogłoski o zwolnieniach. Jako najkrócej pracująca na tym oddziale, powinna liczyć się z taką możliwością. Martwiła się, że jeżeli dołączy do rzeszy bezrobotnych, nie będzie mogła utrzymać Ellen i jej dziecka ani spłacić pożyczki zaciągniętej na studia.

- Muszę cię przenieść z nagłych wypadków - oświadczyła Elaine. - Matka jednej z pielęgniarek dostała wylewu. Dziewczyna poszła na zwolnienie i nie będzie jej przez kilka tygodni.

Beth odetchnęła z ulgą. Będzie miała pracę.

- Dokąd przechodzę?

- Tam, gdzie każdy chciałby pracować - odparła z uśmiechem przełożona.

- Do nowego skrzydła chirurgii? - Marzyła o tym od samego początku.

- Jeszcze lepiej.

Beth ściągnęła brwi. Co może być lepszego od chirurgii?

- Na pediatrię.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pediatria? Poczwała ucisk w gardle. Będzie codziennie oglądać doktora Lockwooda. Może nawet kilka razy dziennie...

- Na pediatrię? - wykrztusiła.

- Wiedziałam, że się ucieszysz. Wszystkie się cieszą. Oprócz mnie, pomyślała Beth.

- Mam niewielkie doświadczenie - zaczęła. - Lepiej byłoby...

Siwowłosa kobieta uśmiechnęła się łagodnie.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, to samo mówiłaś, kiedy wysyłałam cię na nagłe przypadki. I nie sprawiłaś mi zawodu.

Doktor Lockwood na pewno jest odmiennego zdania.

- Nie martw się. Poradzisz sobie. Beth jednak obstawała przy swoim.

- Nie jestem pewna... Doktor Lockwood i ja nie bardzo... Pani Miller oparła łokcie na biurku i splotła palce.

- Dogadacie się. Gdyby to było coś poważnego, otrzymałabym jakąś skargę...

- Mimo to...

- Doktor Lockwood jest świetnym lekarzem. Bywa opryskliwy, ale trzeba zdobyć się na wyrozumiałość. Kilka lat temu w wypadku kolejowym stracił żonę. Była w ciąży. Od tej pory bardzo się zmienił. Takie przeżycia zostawiają ślad.

Beth lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, co przełożona ma na myśli.

- Więc jeżeli czasami bywa trudny, nie bierz tego do siebie. - Sięgnęła po plik dokumentów. - Wiem, że macie sporo pracy, więc nie będę cię zatrzymywać. Zgłoś się na pediatrię w poniedziałek. Mary Peabody oprowadzi cię po oddziale.

Beth tylko kiwnęła głową. Oszołomiona obrotem spraw, szła na oddział, nie zwracając na nikogo uwagi.

Dlaczego ja? Powinna widywać Lockwooda jak najrzadziej, a nie jeszcze częściej. Nie miała jednak wyboru. Mało prawdopodobne, by znalazła inną pracę z takim wynagrodzeniem.

- To minie - powiedziała na głos. Skoro przetrwała w domu dziecka, wytrzyma także surowe spojrzenie Tristana Lockwooda.

Nic nie trwa wiecznie.

Gdy przechodziła obok stanowiska Rose, ta zasłoniła słuchawkę dłonią.

- Dobrze, że jesteś. Za dwie minuty karetka przywiezie ciężarną z wypadku. Podłącz monitor płodowy w jedyne.

Profesjonalizm Beth wziął górę nad jej prywatnymi kłopotami.

- Urazy czaszki?

- Też, ale nie wiem jakie. Wezwałam już ginekologa i neurologa. Jest też doktor Lockwood i doktor Sullivan...

Tym razem dźwięk tego nazwiska przyniósł jej ulgę. Niezależnie od jej osobistych odczuć, w jego rękach to nie narodzone dziecko będzie bezpieczne.

Chwilę później weszła do gabinetu, gdzie wszystko było już przygotowane dzięki Katie i drugiej pielęgniarce. W rogu pokoju Lockwood rozmawiał z Sullivanem.

Odgłos syreny nasilił się, po czym ucichł gwałtownie. Gdy rozległ się pisk hamulców, gremium zebrane w gabinecie powiększyło się o neurologa, chirurga i położnika.

Wszyscy ruszyli do tylnych drzwi karetki. Ukazał się w nich pielęgniarz straży pożarnej.

- Prędko! Prędko!

Już wyciągano nosze. Pielęgniarz trzymał pojemnik kroplówki i wyliczał czynności życiowe. Beth miała właśnie przyłączyć się do niosących, gdy zerknąwszy na posiniaczoną i opuchniętą twarz kobiety, znieruchomiała.

- Ellie?! - Jej krzyk nie uszedł uwagi obecnych.

- Znasz ją? - rzucił Lockwood przez ramię.

- Ellen McGraw. Pracuje w archiwum. Mieszkamy... - głos jej się załamał - razem.

Tłumiąc uczucia, weszła z całą grupą do budynku, modląc się o życie dla przyjaciółki i jej dziecka.

- Co się stało?

- Ciężarówka złapała gumę, kierowca stracił panowanie nad kierownicą i wjechał prosto na nią - odparł pielęgniarz.

- Morfologia, grupa krwi, krzyżówka, elektrolity, koagulo-gram... - usłyszała głos doktora Sullivana.

- Oraz tlen: osiem litrów na minutę - dodał położnik.

- Ellie, słyszysz mnie? - Z zapartym tchem czekała na jakakolwiek reakcję.

- Który to tydzień? - zapytał ktoś z zebranych.

- Mniej więcej trzydziesty ósmy. Poród miał być około pierwszego listopada - odpowiedziała drżącym głosem.

Ellen zamruwała powiekami.

- Beth... - szepnęła. Beth ujęła jej dłoń.

- Możesz poruszać palcami? - zapytała, jednocześnie mierząc puls ranej.

Palce Ellen drgnęły. W tym samym czasie neurolog badał reakcję źrenic, a Beth liczyła jej reakcje według skali Glasgow.

- Dziesięć - powiedziała i poczuła pewien optymizm, ponieważ powyżej siedmiu śpiączka nie występuje.

Spojrzała na ciśnieniomierz.

- Puls dziewięćdziesiąt pięć, ciśnienie sto dziesięć na sześćdziesiąt - zakomunikowała zaniepokojona.

- Dziecko...? - szepnęła Ellen, z trudem unosząc powieki. Doktor Vincent przyłożył głowicę dopplerowską do jej brzucha.

- Ellie, krwawisz. Podejrzewam, że łożysko się odkleja. Wolne bicie serca płodu. Trzeba zrobić cesarskie cięcie.

Kobieta zamknęła oczy,

- Beth...

- Jestem tutaj.

Widok przezroczystej cieczy, płynu rdzeniowego, wypływającej z ucha Ellen, przeraził Beth. Chwyliła bezwładną dłoń przyjaciółki, by sprawdzić puls.

- Pięćdziesiąt - powiedziała.

- Zajmij się... nim - szepnęła Ellie - zamiast... mnie. Neurolog ponownie podniósł jej powieki. Beth dostrzegła objawy ostrego krwaka podpajęczynówkowego. Drogi oddechowe takiego pacjenta muszą pozostać otwarte, należy także podać mu środki odwadniające, aby zredukować ciśnienie śródczaszkowe. Wydano stosowne polecenia.

- Utrzymać drożność dróg oddechowych. Chronić kręgosłup. Manitol. Tomograf... - rzucił chirurg.

- Zajmę się, dopóki nie wydobrzejesz - odparła Beth.

- Obiecujesz...

- Będę się nim opiekować. - Nie mogła powstrzymać łez.

- Babiński dodatni - zakomunikowała Katie, stojąca w nogach stołu.

- Tracimy ją. Zeszła do czterech - mówił neurolog. Objawy te nie wróżyły niczego dobrego.

- Nie wolno ci się poddać, Ellie.

Beth poczuła nagle, że ogląda tę scenę oczami innej osoby. Słyszała podniesione głosy, ale nie wiedziała, do kogo należą.

- Drgawki.

- Diazepam. Dwa i pół miligrama.

- Wezwij pogotowie lotnicze. 1 neurochirurga.

- Tracę tętno dziecka.

- Tomograf i ultrasonograf...

- Szkoda czasu. Na salę operacyjną.

- Nie przetrzyma.

- Jedziemy.

Beth szła przy wózku. Miała nadzieję, że zdarzy się cud, mimo że intuicja podpowiadała jej, że tak się nie stanie. Życie Ellen dobiegało końca. Nagle poczuła, że nie może oswobodzić dłoni z jej uścisku.

Stało się. Ostatnia chwila.

Wózek zwolnił, ale nie stanął. Podnosząc wzrok, Beth napotkała poważne spojrzenie Tristana.

- Zrobimy wszystko, co się da - powiedział. - Dla obojga.

Zaciskając wargi, by opanować ich drżenie, tylko przytaknęła. Popatrzyła na przyjaciółkę, która była jej bliższa niż rodzona siostra. Poglądziła rudoblond włosy rozrzucone na materacu.

- Kocham cię, El - szepnęła.

Oswobodziła dłoń. Tristan popchnął wózek na salę.

W okamgnieniu cała grupa znalazła się poza zasięgiem jej wzroku. Słyszała jedynie gruchy odgłos wahadłowych drzwi, niczym podzwonne.

Podniosła rękę w pożegnalnym geście.

- Cześć, Ellie.

Ogarnął ją przenikliwy chłód. Rozcierając ramiona, zastanawiała się, co dalej począć. Jej dyżur jeszcze się nie skończył, ale nie może opuścić Ellen.

Zadecydowała za nią Rose. Objęła ją opiekuńczym gestem i zaprowadziła do poczekalni dla rodzin operowanych.

- Nie wracaj już na oddział. Wiem, że się martwisz o los przyjaciółki. Zostań tu, blisko niej.

- Dziękuję.

- Zrobimy, co się da...

Została sama. Nie mogła usiedzieć na miejscu. Czekwała na informacje z sali operacyjnej. Była zbyt spięta, by skupić się na lekturze wyłożonych pism. Zajrzała do dzbanka z kawą. Rzadko pijała kawę, ale tym razem postanowiła wzmocnić się kofeiną. Czeką ją bardzo długa noc...

Z plastikowym kubkiem w dłoniach oparła się o framugę okna i zapatrzyła w ciemność.

Wspominała wesoły uśmiech i poczucie humoru Ellen McGraw. Wspominała, jak Ellen zaopiekowała się nią, gdy jako wystraszona trzynastolatka, odtrącona przez ciotkę, znalazła się w domu dziecka; jak później przygarnęła jeszcze dwie dziewczyny, Kirsten Holloway i Naomi Stewart; jak razem stanowiły nierozłączną czwórkę.

Uśmiechnęła się. Mówiły o sobie: „czterej muszkietierowie”. Każda z nich miała własne kłopoty ze szkołą i koleżankami, ale razem były nie do pokonania. „Wszystkie za jedną, jedna za wszystkie”. Nie był to pusty frazes: dawały sobie wzajemnie wsparcie moralne, emocjonalne oraz fizyczne.

Beth pocieszała Naomi, kiedy koleżanki z klasy dokuczały jej z powodu krzywych zębów i nędzy, w jakiej żyła jej rodzina. Kirsten pomagała Beth z chemii. Wszystkie wspierały Kirsten, gdy umarła jej młodsza siostra. Kiedy któraś potrzebowała pieniędzy, składały się wszystkie.

Pakt ten nie uległ rozwiązaniu wraz z końcem nauki w szkole średniej. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie burze.

- Bethany...

Zmęczony głos Tristana Lockwooda wyrwał ją z zamyślenia. W drzwiach oprócz niego stał doktor Watson, neurolog i zarazem mąż Rose. Jeszcze nie zdjęli zielonych strojów chirurga.

Ich pojawienie się mogło znaczyć, że Ellen można już powierzyć opiece pielęgniarek lub... Odrzucała tę drugą możliwość.

Wpatrywała się w ich twarze, zazwyczaj tak różne, lecz tym razem w ich oczach wyczytała ten sam smutek. Nie musiała o nic pytać. Już nieraz widziała takie ściągnięte rysy i częściej, niżby sobie tego życzyła, sama czuła identyczny skurcz mięśni twarzy.

Nie ma nadziei.

Mimo to musiała zapytać:

- Co z Ellen?

Speszony jej spojrzeniem, Tristan potarł kark. Nienawidził tej strony swojego zawodu. Chociaż tym razem można powiedzieć, że sprzyjało mu szczęście. Miał dla Beth dobrą wiadomość.

Gdy tylko wziął dziecko Ellen na ręce, poczuł, że do walki z kostuchą wykorzysta całą swoją wiedzę i talent. Nie pozwoli, by Jos odebrał dziecko jakiemuś mężczyźnie tak łatwo jak jemu. Podczas gdy on zajmował się noworodkiem, reszta zespołu walczyła o życie Ellen. W rezultacie tylko on ma powody do optymizmu.

Odpowiedział jej neurolog:

- Niestety, Beth. Uszkodzenie mózgu było zbyt rozległe. Aż dziw, że tak długo była przytomna.

Zagryzła wargi. By nie ujrzeć jej łez, podniosła wzrok na sufit.

- Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy - dodał doktor

Watson.

- Wiem. Dziękuję.

- Gdybyś potrzebowała...

Wzdychając, pokiwała głową. W głębi ducha Tristan wątpił, by go poprosiła o pomoc.

Wzruszyła go jej rezygnacja i smutek. Doktor Watson już wyszedł z poczekalni i Tristan nagle poczuł przemożną chęć, by wziąć ją w ramiona. Lecz nim się zdecydował, Beth skrzyżowała ramiona na piersi i popatrzyła mu w twarz.

- A dziecko?

- Chłopiec - odparł Tristan.

- Była o tym przekonana. Nie dopuszczała do siebie innej myśli.

- Czy jesteś pewna, że to był trzydziesty czwarty tydzień?

- Tak mówiła. Dlaczego pytasz?

- Oceniamy go na trzydzieści sześć tygodni, czyli więcej niż się spodziewałem.

- To znaczy, że jest zupełnie zdrowy?

- Tego nie mogę powiedzieć. - Nie chciał gasić jej optymizmu. - Trzeba ustabilizować za niski poziom cukru we krwi.

Mogliśmy go zatrzymać u nas, ale ponieważ nasz oddział wcześniaków nie został jeszcze oficjalnie otwarty, zdecydowałem, że należy go przewieźć na neonatologię w Kansas City. Czy mamy kogoś zawiadomić? Kogoś z rodziny? Ojca?

- Nie. Ona nikogo nie miała. - Westchnęła. - Nigdy nie wspomniała o ojcu dziecka. Nawet nie znam jego imienia.

Kilkakrotnie starała się wydobyć z Ellen tę informację, ale bez skutku. W końcu dała temu spokój, przeświadczona, że z czasem Ellen zmieni zdanie. Szkoda, że nie starczyło jej dociekliwości.

- W tej sytuacji dziecko przechodzi pod opiekę sądu, który zadecyduje o jego losie.

- Wiem o tym, doktorze - oznajmiła silnym tonem - ale nie wiem, czy Ellen coś załatwiła w tej sprawie. Jeżeli nie, zamierzam wystąpić do sądu o przyznanie mi opieki nad dzieckiem.

Oniemiał zaskoczony jej stanowczością. Ta nieśmiała pielęgniarka, która bez szemrania wykonywała wszystkie polecenia, nagle pokazuje pazury. Po raz wtóry dostrzegł jej podobieństwo do lwicy, która atakuje w obronie tego, co jest dla niej drogie.

Przez moment pomyślał, że sprowokował ją podświadomie, w nadziei wyzwolenia w niej konkretnej reakcji. Oto jej odpowiedź. Pod maską spokoju i nieporadności kryła się kobieta z ogromnym temperamentem, a nie popychadło, za jakie ją miał.

- Opieka nad wcześniakiem to trudne zadanie nawet dla par, którym pomaga reszta rodziny. Poradzisz sobie sama?

- Jestem pielęgniarką. Wiem, czego mu trzeba.

- Muszę dbać o interesy moich pacjentów. Większość z nich nie potrafi upomnieć się o swoje.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Być może nie jestem wzorem doskonałości w gabinecie lekarskim, ale o niemowlę potrafię zadbać. Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - odparł bez wahania i ruszył do sali wcześniaków. - Jest podłączony do mnóstwa rurek i kabelków - ostrzegł, mimo, że jako pielęgniarka powinna być przygotowana na ten widok.

Na postronnych obserwatorach urządzenia podłączone do ciałek niewiele większych od dłoni sprawiają przykre wrażenie; osobom zaangażowanym uczuciowo kojarzą się z okrucieństwem.

W przedpokoju pachnącym środkiem odkażającym, talkiem i świeżą pościelą umyli ręce i włożyli czyste fartuchy.

Obserwował ją. Chociaż zachowała kamienną twarz, zdradziły ją dłonie. Nie mogła poradzić sobie z zawiązaniem fartucha na karku. Wyręczył ją. Wsuwając dłonie pod jej włosy, poczuł ich jedwabistość i delikatny

zapach wody kwiatowej. Dawno zapomniany dreszcz przebiegł przez jego ciało. Speszony odwrócił wzrok, by napotkać zaciekawione spojrzenie oddziałowej pielęgniarki.

Zmarszczył czoło, a dziewczyna natychmiast zajęła się stertą czystej pościeli. No to co, że nikt jeszcze nie widział, by komukolwiek pomagał zawiązać fartuch? To wyjątkowa sytuacja. Jednocześnie z ulgą pomyślał o szerokich spodniach i fartuchu, które dokładnie zasłaniały fizyczny przejaw jego zainteresowania Beth.

- Tędy. - Wskazał oszkloną część pomieszczenia, której zadaniem było odizolowanie poważniejszych przypadków. Od kilku lat jej organizacji poświęcał cały swój czas.

Po chwili Beth ujrzała małe ciało podłączone do kroplówek i monitorów. Drobną pierś chłopczyka unosiła się i opadała w nieregularnym rytmie.

- Ma na imię Daniel James - oznajmiła. - Matka wybrała mu te imiona.

Otworzyła pokrywę inkubatora, by pogłodzić nóżki i ramionka noworodka. Drgnął.

- Jaki słodki - szepnęła. - 1 maleńki. - Zwróciła na Tristana roziskrzony spojrzenie. - Dziękuję, doktorze. - Zabrzmiało to bardzo skromnie, ale w podziękowanie za ten wspaniały dar mogła mu zaofiarować tylko wdzięczność.

^ród popiskiwania monitorów i szumu tlenu tłoczonego do inkubatorów oddała się bolesnym rozmyśleniom na temat śmierci Ellen. Szkoda, że nie zdążyła zobaczyć swojego syna... Szkoda, że i on jej nie pozna.

Takie rozważania niczego już nie zmieniają, trzeba pomyśleć o przyszłości.

Wiedziała już, co należy zrobić, by adoptować Daniela. Najpierw wypełni wniosek. Ellen była sierotą, więc krewni, którzy mogliby zechcieć zająć się dzieckiem, nie wchodzi w rachubę. Dwie potencjalnie zainteresowane osoby, Naomi i Kirsten, wkrótce opuszczą dom dla pielęgniarek, więc nie mają warunków do wychowywania dziecka. Zatem pomimo nieszczególnej sytuacji materialnej Beth jest jedyną kandydatką.

Za dwa, trzy tygodnie, po rozmowach z przedstawicielami opieki społecznej, sąd wyda stosowną decyzję. Wówczas zabierze Daniela do domu.

Pod warunkiem, że nikt nie zakwestionuje twojego wniosku...

Nie robią tego, pomyślała, gładząc rączkę Daniela. Zaniepokoiło ją, czy nie zaważy tutaj opinia doktora Lockwooda.

Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe, wspólne doświadczenia, zapewne nie nazwie jej osobą „kompetentną” lub „niezawodną”. Tristan Lockwood musi zostać jej sprzymierzeńcem, musi uwierzyć, że miejsce tego dziecka jest przy niej, a nie w obcej rodzinie.

Nabrała powietrza w płuca i zaczęła mówić, starannie dobierając słowa...

ROZDZIAŁ TRZECI

Uważnie słuchał jej opowieści.

- Gdy miałam siedemnaście lat, nasza nauczycielka wychowania obywatelskiego zaplanowała wycieczkę do Waszyngtonu. Bardzo chciałam na nią pojechać.

Tristan przysunął się bliżej, by lepiej ją słyszeć wśród szumu aparatury.

- Trzeba było za nią zapłacić z góry, więc przez kilka miesięcy oszczędzałam każdy grosz. Po lekcjach i w weekendy pracowałam w bibliotece publicznej. Sprzątałam nawet u jednej z nauczycielek. Bez przerwy liczyłam te pieniądze, jakbym się spodziewała, że się rozmnożą. I tak wiedziałam, że zabraknie mi pięćdziesięciu dolarów.

Dotknęła palcem piąstki Daniela, która otworzyła się i zamknęła. Beth uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- On jest zdrowy, prawda? - upewniła się i nie czekając na odpowiedź, podjęła swój monolog.

- Chciałam poszukać drugiej pracy, ale przełożona nie wyraziła zgody. Powiedziała, że zaniedbam szkołę. Byłam zrozpaczona.

Niechętnie zamknęła inkubator. Tristan czekał na dalszy ciąg jej wynurzeń. Mimo że nie należał do osób obdarzonych bezgraniczną cierpliwością, nauczył się traktować czekanie jako zło konieczne.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przeżył porównywalne rozczarowanie, ale nic podobnego nie przychodziło mu na myśl. Jego rodzina żyła skromnie, ale bez większych kłopotów z zarobków ojca, który pracował jako listonosz. Beth i Ellen na pewno tego nie zaznały.

- Ellen też oszczędzała. Była zaproszona na bal absolwentów, który miał się odbyć pod koniec roku. Wypatrzyła w sklepie najpiękniejszą suknię, jaką można sobie wyobrazić.

Tristan obserwował nierówny oddech Daniela. Chwilę później zauważył, że noworodek przestał oddychać. Przygotowywał się psychicznie do reanimacji.

- On nie od... - przestraszyła się Beth.

Rozległ się sygnał alarmowy, lecz nim Tristan otworzył inkubator, Daniel znowu zaczął oddychać.

- W porządku. Wcześniakom często zdarza się bezdech podczas snu, z powodu słabo rozwiniętych płuc. Jak sama widzisz, ten sprzęt w porę zaalarmuje personel.

Jej rysy nieco się wygładziły.

- Mówiła pani o czymś... - zaczął, by odwrócić jej uwagę.

- Ach, tak. Skończyło się na tym, że Ellen kupiła sobie inną, tańszą suknię, a mnie dała resztę pieniędzy. - Podniosła wzrok na jego twarz. - Zrezygnowała dla mnie z czegoś, czego bardzo pragnęła. Teraz moja kolej zrobić coś dla niej. Jako ofiara rozbitej rodziny, Ellen nie chciała, żeby jej dziecko spotkał podobny los. Żadne dziecko, doktorze, nie zasługuje, żeby zajmowali się nim ludzie zainteresowani wyłącznie pieniędzmi, jakie na nie otrzymują. On musi mieć kogoś, kto będzie go kochał - dokończyła stanowczym tonem.

- Wycieczka to nie to samo co wychowywanie dziecka.

- To prawda. Ale tu obowiązuje ta sama zasada.

- Jest mnóstwo małżeństw, które błagają o dziecko do adopcji. Kilka znam osobiście.

Potrząsnęła głową.

- Ellen mnie powierzyła swojego syna. Mnie... jednej z najbliższych przyjaciółek. Wbrew temu, co pan myśli, traktuję poważnie swoje obowiązki. Nie złamię obietnicy złożonej przy łożu śmierci.

Zapał, z jakim to mówiła, zrobił na nim ogromne wrażenie. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Rozumie pan, dlaczego muszę to zrobić?

Już od dawna trzymał się z daleka od kobiet i wydawało mu się, że uodpornił się na ich moc przyciągania. Jednak ta dziewczyna obaliła jego teorię. Był oszołomiony.

Natychmiast naszło go bolesne wspomnienie minionych lat. Nie, nie chce tego ponownie przeżywać... Jeden raz wystarczy.

Włączył się jego mechanizm obronny: co ona chce usłyszeć? Że popiera jej decyzję? Że jest to decyzja słuszna? Że Danielowi lepiej będzie z samotną opiekunką niż w kochającej go, pełnej rodzinie?

Nim odpowiedział, podeszła do nich pielęgniarka.

- Mamy problem, doktorze. Problem?

Beth wyczuła, że chodzi o Daniela.

- Z powodu złych warunków atmosferycznych sanitarka z Kansas City nie wystartuje. Pytają, czy sprawa może poczekać, czy mają wysłać karetkę? Jeżeli nie, sugerują, żebyśmy skontaktowali się z innym ośrodkiem.

Tristan zastanawiał się, popatrując na dziecko. W końcu Beth zdecydowała, że nie może dłużej czekać na odpowiedź. Troska o dziecko wzięła górę nad jej nieśmiałością i lekiem przed często niesympatycznym pediatrą. Czowała, że w tej chwili nie jest jego podwładną, zobowiązaną przestrzegać szpitalnej etykiety, lecz klientką.

- Co pan postanowił? - zapytała.

- Zatrzymamy go. Jeżeli jego stan się pogorszy, skontaktujemy się z innym ośrodkiem neonatologicznym. Nie możemy narażać dziecka ani towarzyszącego mu zespołu na niepotrzebne ryzyko.

Usłyszawszy tę decyzję, poczuła, jak opuszcza ją energia. Mimo że pragnęła, by Daniel miał jak najlepszą opiekę, ucieszyła się na myśl, że jeszcze przez jakiś czas będzie miała go w pobliżu.

Pielęgniarka oddaliła się.

- Proszę jechać do domu i odpocząć. Wyprostowała się, nie chcąc zdradzać słabości.

- Nie jestem zmęczona.

- Zawiadomimy panią, gdyby zaszła jakaś zmiana.

- A pan zostaje?

- Jeszcze tak. Mam mnóstwo papierkowej roboty.

- Wobec tego i ja zostanę.

W jego spojrzeniu wyczytała zdumienie. Sama też była zaskoczona. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy nie musi wykonywać jego poleceń.

- Jak pani chce... - Podrapał się po brodzie i ruszył do stanowiska pielęgniarek.

Beth tymczasem przysunęła do inkubatora stojący nieopodal fotel na biegunach. Postanowiła jeszcze parę chwil posiedzieć przy Danielu.

Ostatnio żyje w wielkim napięciu, chociaż najtrudniejsze sprawy ma jeszcze przed sobą. Musi zająć się pogrzebem, a przede wszystkim zawiadomić Naomi i Kirsten, Myślała o tym z bólem. Usiadła wygodniej.

Uświadomiła sobie, że Tristan nie odpowiedział na jej pytanie. Opowiadanie o trudnej młodości nie przyniosło spodziewanego rezultatu: nie należało w ogóle liczyć na współczucie Lockwooda, ponieważ jest to uczucie zupełnie mu obce. Dobrze, że nie wdała się w szczegóły. Nie zależy jej na jego litości.

Zajmę się nim, Ellen.

Przymknęła oczy i zaczęła snuć plany. Ellen na szczęście zebrała sporo ubranek dla dziecka, łóżeczko, fotelik samochodowy i różne przybory

toaletowe. Znając skrupulatność przyjaciółki, wiedziała, że gdzieś musi być lista potrzebnych rzeczy. Pod warunkiem, że uda się ją znaleźć.

Ogarnęło ją ogromne zmęczenie, pomyślała nawet, że mogłaby spędzić tę noc, drzemiąc w fotelu. Lecz chociaż nie miała najmniejszej ochoty wracać do pustego mieszkania, postanowiła ruszyć się z tego miejsca. Szeptem pożegnała się ze śpiącym Danielem.

- Idziesz do domu? - zagadnęła ją Lily, która właśnie przyszła na nocny obchód.

- Tak. - Zerknęła na zegar. Druga. Zasiadła się. - Wpadnę do was później.

- Jesteśmy tu przez cały czas. - Przed otwarciem inkubatora Lily poprawiła słuchawki stetoskopu.

Beth postanowiła poczekać, aż koleżanka osłucha Daniela.

- Praca serca prawidłowa. Nie ma temperatury. W porządku - skonstatowała Lily.

- Dzięki.

Zdjęła ochronny fartuch i wrzuciła go do wózka z brudami.

Wędrowała pustymi korytarzami do stanowiska pielęgniarek po torbę i kurtkę, po czym wyszła z budynku na parking dla lekarzy.

Wcześniejsze prognozy pogody nie przewidywały śnieżycy. Matka natura sprawiła wszystkim niespodziankę: o tej porze roku rzadko bywało aż tak zimno.

Czeka ją spory kawałek drogi. Otuliła się szczelniej kurtką i ruszyła przed siebie, układając w głowie listę rzeczy do załatwienia. Musi mieć sprawny samochód. Auto Ellen od dawna już stoi zepsute, a jej własną toyotę należy spisać na straty.

- Zamierza pani iść piechotą? - usłyszała jakiś głos. Przerazona znieruchomiała na wspomnienie pobitych kobiet,

które przywożono do szpitala. Odwróciła się gwałtownie, by stawić czoło obcemu. Przemknęło jej przez głowę, że lepiej było nie ruszać się z fotela na biegunach.

W kręgu światła latarni pojawiła się znajoma, wysoka sylwetka. W okamgnieniu wszelki strach zniknął.

- Tak.

- O tej godzinie? W taką pogodę? - Patrzył na jej kurtkę.

- Wychodząc z domu, nie wiedziałam, że pogoda się zmieni.

- Nie ma pani auta?

Jego zdziwienie było zrozumiałe. W Mercer, które liczyło czterdzieści tysięcy mieszkańców, poza minibusem dla emerytów nie istniał system transportu publicznego. Wszyscy jeździli samochodami. Nikt nie chodził piechotą, chyba że w celach zdrowotnych.

- Nie. Tak. Myślę, że nie mam - poprawiła się. - Ellen jechała dzisiaj do Blue Springs, do krawcowej, która miała uszyć kołderkę dla Daniela. Dałam jej mój samochód, bo był w lepszym stanie niż jej.

Pokiwał głową.

Poraziła ją przerażająca myśl. Jeżeli jej auto przyczyniło się do wypadku Ellen...

- Obawiam się, że nie nadaje się do naprawy. Jutro się dowiem.

- Podwiozę panią.

Zaprotestowała, po czym zmieniła zdanie. Głupotą byłoby zrezygnować z takiej propozycji. Zdarza się jej wprawdzie stracić głowę, ale przecież nie jest głupia.

- Dokąd?

Podawała adres. Mimo że wewnątrz nie hulał lodowaty wiatr, wstrząsały ją dreszcze. Nie chciała, by Tristan Lockwood zorientował się, w jakim jest stanie. Obawiała się jego komentarzy.

- Zimno?

Włączył ogrzewanie i skierował nawiew w jej stronę. Już po chwili poczuła się bezpiecznie. Przez najbliższe minuty nie chce myśleć o żadnych zmianach w swoim życiu.

Jechali w milczeniu. W końcu wskazała jeden z domków. Samochód zahamował na popękany asfalcie. Okolica nie należała do eleganckich, ale czynsz był tu znośny.

Gdy położyła dłoń na klamce w samochodzie, nagle ogarnęło ją straszliwe uczucie osamotnienia. Dotychczas ilekroć wracała do domu, czekało na nią w oknie światło lampki. Nie zdawała sobie sprawy, jak trudno jej będzie wejść do pustego domu, który jeszcze kilka godzin temu pełny był marzeń i nadziei związanych z radosną przyszłością.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dziękuję - szepnęła.

Zatrzasnęła drzwi i ruszyła w stronę domu. Odwracając się plecami do wiatru, nerwowo szukała kluczy w torbie. W końcu poczuła chłód metalu. W tej samej chwili, w której wiatr się uciszył, poczuła na ręce dotyk cieplej dłoni.

- Niech pani pozwoli...
- Dlaczego? - zdumiała się.
- Pierwszy raz jest najtrudniejszy.

Dobrze wiedział, co czuła. Chociaż on przeżył okropniejsze chwile... Stracił przecież ukochaną żonę.

Wyjął z jej dłoni klucz, otworzył drzwi i sięgnął do kontaktu. Stanęli w środku. Wyczuwając, że Beth niepewnie czuje się w ciemnościach, obszedł mieszkanie, wszędzie zapalając światło.

- Chyba wszystko jest w porządku - oznajmił, wracając do holu. - Poradzi sobie pani?

Przytaknęła, zastanawiając się, jak by zareagował, gdyby dała odpowiedź negatywną.

- Proszę odpocząć.
- Postaram się.

Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. Uścisnął jej dłoń, lekko ją do siebie przyciągając. Chciała ją oswobodzić, przekonana, że nie zrozumiała jego intencji. Popatrzyła na jego szerokie, zapraszające ramiona, po czym przeniosła spojrzenie na jego poważną twarz. Gdyby nie przyglądała mu się tak uważnie, zapewne nie zauważyłaby tego prawie niedostrzegalnego gestu głowy.

Nim się spostrzegła, padła w jego ramiona, chowając twarz na jego piersi. Już dłużej nie mogła hamować łez. Rozpłakała się na dobre.

Upłynęło sporo czasu, nim z głębokim westchnieniem zdołała się opanować.

- Zmoczyłam panu koszulę.

Pogładził ją po policzku i bez słowa wyszedł. Zamykając za nim drzwi, doznała olśnienia. Tristan Lockwood jest zdolny do współczucia.

- Co ty tu robisz? - Rose ze zdumieniem patrzyła na Beth.
- Przyszłam do pracy.

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz? Nikt nie oczekuje...

- Dam sobie radę. - Powątpiewanie w oczach Rose kazało jej dodać: - Wczoraj załatwiłam, co się dało. Poza tym nie ma sensu siedzieć w domu. W tę niedzielę przypada mój dyżur.

Było sporo prawdy w tym wyjaśnieniu, chociaż najważniejszym argumentem były kłopoty finansowe.

Ellen nie wykupiła polisy na życie, a koszt najskromniejszego pogrzebu okazał się horrendalny. Czekają ją jeszcze wydatki związane ze sprawą

sądową oraz koszty leczenia Daniela. Nie może odliczyć ich od swojego ubezpieczenia, dopóki nie jest jego prawną opiekunką. Nie wiedziała, czy zechce je pokryć opieka społeczna.

Z jej ukochanej toyoty została sterta żelastwa, a naprawa auta Ellen kosztowałyby więcej niż jego wartość. Miała przed sobą widmo długów i liczył się każdy zarobiony dolar. Nie mogła pozwolić sobie na siedzenie w domu i rozczulanie się nad sobą.

Rose pogładziła ją po ramieniu.

- Rozumiem. Ale gdybyś stwierdziła, że jest ci trudno, zgłoś się do mnie.

Przez kilka następnych godzin zajmowała się pacjentami cierpiącymi na przeróżne dolegliwości. Nie były to poważne przypadki, lecz dzięki nim skupiła się na czym innym niż jej własne problemy.

Gdy czekała na powrót chłopca z radiologii ze zdjęciami kostki, do gabinetu wpadł mężczyzna w roboczym ubraniu z dzieckiem na rękach. Towarzyszyła mu żona.

- Nazywam się Weller - przedstawił się. - Nasz syn potrzebuje pomocy.

- Co się stało? - zapytała Beth, przypatrując się bladej twarzyczce dziecka.

Pani Weller podała jej buteleczkę z tabletkami acetaminofenu, sprzedawanymi bez recepty.

- Dobrał się do tego.

Beth przystąpiła do akcji. Wezwała także Katie.

- Poproś doktora Sullivana. Przypadkowe zatrucie acetaaminofenem.

Katie pobiegła po lekarza, Beth tymczasem zwróciła się do rodziców chłopca:

- Ile tabletek połknął?

Zrozpaczona matka załamała spracowane dłonie.

- Nie wiem dokładnie. Butelka była pełna, dopiero co ją zaczęłam. Zadzwoił telefon, a kiedy wróciłam, tabletki leżały rozsypane na podłodze. Wydawało mi się, że dobrze zakręciłam, ale butelka spadła ze stolika i nakrętka musiała się obluźować. Samuel miał je jeszcze w buzi, więc kazałam mu je wypluć, ale jak wszystko wsypałam z powrotem, buteleczka zapełniła się tylko do połowy. Tam było sto tabletek! - zaszlochała.

- Wymiotował? - zapytała Beth. - Dała mu pani jakiś środek wymiotny?

Kobieta zaprzeczyła.

- Nie mam w domu niczego takiego. Starszym dzieciom nigdy to się nie przydarzyło.

- Można go kupić w każdej aptece. Warto mieć go pod ręką. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda. - Nie jest to najlepsza pora na wykład o zawartości domowej apteczki. - Kiedy to się stało?

- Jakieś trzy kwadransy temu. Rozmawiałam przez telefon. Potem zbierałam tabletki, dzwoniłam do męża. Trzeba jeszcze dodać jazdę do szpitala.

Beth zanotowała tę informację.

- Wyzdrowieje? - niepokoiliła się pani Weller.

- Ten środek niszczy wątrobę i nerki. Trzeba zrobić płukanie żołądka, zanim acetaminofen spowoduje trwałe uszkodzenia.

- Wcale nie wygląda na chorego - zauważył ojciec.

- Nawet poważne zatrucia miewają bezobjawowy przebieg.

- Czy on...? - szepnęła pani Weller.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewniła ją Beth. - Im prędzej usuniemy toksynę z jego organizmu, tym lepiej. Zaraz przyjdzie doktor Sullivan.

Nie czekając na jego polecenia, zaczęła przygotowywać się do zabiegu. Na wypadek, gdyby nastąpiła blokada dróg oddechowych, wyjęła też aparat do odsysania.

Do gabinetu wpadli doktor Sullivan, Katie i Rose. Beth poprosiła pana Wellera, by położył dziecko na stole.

- Proszę pobrać krew na poziom enzymów wątrobowych, czas protrombiny, BUN i glukozę. Powiedzcie w laboratorium, żeby się pospieszyli z poziomem acetaminofenu. Tymczasem zrobimy płukanie, a potem podamy mu węgiel aktywny.

Cichy płacz Samuela przeszedł w przeraźliwy wrzask, który Beth ze wszystkich sił starała się ignorować. Zabieg nie należał do przyjemnych, lecz konsekwencje zaniechania go były niewspółmierne do chwilowej niewygody.

Rose ułożyła chłopca w odpowiedniej pozycji, podczas gdy Beth przygotowywała sondę. W końcu doktor Sullivan wprowadził ją do przełyku i dalej. Do płukania zastosował zwyczajną sól fizjologiczną. Po chwili mętna treść żołądkowa zaczęła się wylewać rurką.

Laborantka pobrała próbki krwi chłopca, po czym pospiesznie opuściła salę.

Doktor Sullivan powtarzał czynność kilka razy, aż Beth dała znak, że wystarczy, po czym osłuchał jamę brzuszną dziecka.

- Perystaltyka słyszalna. Zróbmy jeszcze płukanie z węglem i surbitolem. - Przez cały czas doktor Sullivan tłumaczył rodzicom Sama działanie zastosowanych środków. - Węgiel wchłonie i zwiąże acetaminofen w jelicie, a ponieważ nie ma żadnych oznak niedrożności, podamy mu środek przeczyszczający.

- Wyzdrowieje? - dopytywała się matka.

- Zagrożenie jeszcze nie minęło, ale nie przewiduję większych komplikacji. Za parę godzin wyniki badania krwi pokażą, czy usunęliśmy toksynę, nim została wchłonięta przez organizm.

- A jeżeli została wchłonięta?

- Wówczas siedemnaście razy co cztery godziny otrzyma doustnie odtrutkę o nazwie acetylocysteina. Może mu się to nie spodobać, ale w odróżnieniu od krajów europejskich nasze ministerstwo zdrowia nie dopuszcza takiej kroplówki. Zostanie na obserwacji na oddziale pediatrycznym. Czy mają państwo swojego lekarza domowego?

Pani Weller pokręciła głową.

- Dopiero się tutaj sprowadziliśmy. W przyszłym tygodniu byłam umówiona na wizytę u doktora Lockwooda.

- Zaraz go wezwiemy. Nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby poznać swojego pacjenta kilka dni wcześniej. Katie, poszukaj go.

Dźwięk tego nazwiska sprawił Beth w zakłopotanie. Jak to dobrze, że Samem zajął się doktor Sullivan. Nie wiadomo, jak by się zachowała po tym, co wydarzyło się między nią a pediatrą minionej nocy.

Wcześniej mogła sobie jedynie wyobrażać, jak by się czuła w objęciach Tristana, lecz po epizodzie w jej domu wspomnienie jego silnych ramion nie dawało jej spokoju. Rozsądek podpowiadał jej, że należy o tym zapomnieć, lecz jej zmysły mówiły co innego, szczególnie teraz, gdy ma pracować na jego oddziale.

- Już to wyjmujemy - rzekł doktor Sullivan do chłopca, usuwając sondę. Zapłakany Sam natychmiast rzucił się w ramiona matki. - Proszę tu zaczekać na doktora Lockwooda. Po otrzymaniu kolejnych wyników zadecydujemy, co dalej.

Pani Weller usadowiła się na krześle z synkiem na kolanach. Chwilę później Beth otuliła dziecko kocykiem.

- Dziękuję.

Beth uśmiechnęła się do chłopczyka, wyobrażając sobie siebie z Danielem. Nie mogła się tej chwili doczekać.

Po godzinie zjawił się Tristan z wynikami analiz. Podczas przeprowadzania bilansu trzylatka Beth starannie unikała wzroku pediatry; skupiła się na dziecku. Nie mogła się rozpraszać.

Los jej sprzyjał. Po raz pierwszy w jego obecności działała tak sprawnie jak u boku pozostałych lekarzy. Może trochę wolniej, ale bez żadnych potknięć. Z westchnieniem ulgi szła do stanowiska pielęgniarek. Niestety, obaj lekarze poszli w jej ślady i na dodatek usiedli obok niej.

Bliskość Tristana przyprawiła ją o lekki dreszcz. Nie wiedziała, czy był to dawno nabyty nawyk, czy wywołała go świadomość słabej strony Lockwooda. Drżącą ręką wpisywała dane do karty Samuela.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo - oznajmił spokojnie Tristan.

- Cieszę się, że Sam będzie teraz pod twoją opieką - odparł Sullivan. - Słyszałem, że zabierasz mi najlepszą pielęgniarkę.

Beth nagle zainteresowała się ich rozmową. Czy jest jeszcze ktoś oprócz niej?

- Kogo masz na myśli? - spytał Tristan.

- Tu obecną Beth.

- Nie wiedziałem. Od kiedy? Z wrażenia aż złamała ołówek.

- Od przyszłego tygodnia. Będzie nam jej brakowało - oświadczył Sullivan.

- Bez wątpienia.

Nie dała się zwieść temu obojętnemu tonowi. Jego twarz nie wyrażała większego entuzjazmu.

Gdy zadzwonił telefon, szybko chwyciła słuchawkę.

- Poziom acetaminofenu w surowicy Sama Wellera wynosi 175 - przekazała informację lekarzom.

Tristan podniósł się z miejsca.

- Poziom krytyczny wynosi 200 - zaczął. - Na wszelki wypadek podajmy mu acetylocysteinę.

Wkrótce Sam wraz z rodzicami był już w drodze na oddział dziecięcy, gdzie czekał go trudny, trzydniowy pobyt. Zastanawiała się, czy zostanie go na oddziale w sobotę, kiedy miała zacząć pracę na pediatrii. Życzyła mu jak najszybszego powrotu do zdrowia.

W wolnej chwili Rose wysłała ją na kolację, ale zamiast do stołówki Beth poszła odwiedzić Daniela.

- Znaczna poprawa - poinformowała ją Lily. - Przez cały dzień żadnego bezdechu.

- Jestem z ciebie dumna - Beth pochwaliła noworodka. - Tak trzymaj, żebym jak najprędzej mogła zabrać cię do domu. - Zwróciła się do Lily: - Mogę zostawić wiadomość dla jego opiekunki społecznej?

- Oczywiście, ale właśnie przyszła. Możesz z nią porozmawiać. Jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Edith White.

Beth zerknęła we wskazanym kierunku. Ujrzała tam kobietę w średnim wieku, w skromnym, granatowym kostiumie. Zaskoczyło ją jej podobieństwo do wielu pracownic opieki społecznej, które pojawiały się w jej własnym życiu: niezamężnych, chudych, z haczykowatymi nosami. Zastanawiała się, czy i ta kobieta ma podobnie negatywny stosunek do świata, wynikający z zaangażowania się w pracę z dziećmi wplątanymi w problemy niewyobrażalne dla większości zwykłych ludzi.

Musi dobrze wypaść w oczach opiekunki, ponieważ decyzja sędziego zależeć będzie od jej opinii.

Pierwsza odezwała się pani White.

- Bethany Trahern? Powiedziano mi, że tutaj panią znajdę. Zajmuję się sprawą tego chłopca. Podobno zamierza go pani adoptować?

- To prawda - odparła, czując na sobie krytyczne, taksujące spojrzenie.

- Cieszę się, że ktoś się nim zainteresował. Ale nawet gdyby pani się nie zgłosiła, nie mielibyśmy trudności ze znalezieniem dla niego rodziny. Przyszli rodzice wolą noworodki. Mam nadzieję, że zdaje pani sobie sprawę z tego, że nie możemy oddać go pierwszej lepszej osobie.

Czy to ma być ostrzeżenie?

- Sąd musi mieć pewność, że dziecko trafi do dobrego domu, który zadba o wszystkie jego potrzeby. Prawda, doktorze Lockwood?

Nie słyszała, jak wszedł. Czy razem z panią White już zdecydował o losie Daniela? Czy ona ma jakieś szanse?

Nie czekając na jego odpowiedź, pani White podjęła temat.

- Za panią przemawiają pani kwalifikacje. Jest dla mnie oczywiste, że każda wykwalifikowana pielęgniarka poradzi sobie w takiej sytuacji. Co pan o tym sądzi, doktorze?

Beth wstrzymała oddech. Jeżeli z jego ust padnie choć jedno słowo sprzeciwu... Czekala z zaciśniętymi pięściami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tristan nigdy nie wahał się wygłaszać swych opinii, tym razem jednak nie wiedział, co powiedzieć.

Edith White wyraźnie oczekiwała hymnów pochwalnych, lecz chociaż Bethany świetnie się spisała podczas zabiegu płukania żołądka Sama Weßlera, nadal miał pewne zastrzeżenia. Spojrzał na nią. Stała wyprostowana, zaciskała nerwowo pięści. W jej spojrzeniu wyczytał strach. Ona także spodziewa się pozytywnej opinii.

Sumienie nie pozwalało mu już teraz przekreślać jej szans. Adopcja jest skomplikowanym procesem. Sprawdzano, czy osoby starające się o nią nie były karane za przestępstwa kryminalne ani oskarżone o napastowanie seksualne dzieci; poddawano je szczegółowym wywiadam prowadzonym przez pracowników opieki społecznej. Jako przyjaciółka matki Daniela mogła pominąć niektóre etapy procedury adopcyjnej, ale najmniejsze zastrzeżenia pod jej adresem mogą ograniczyć jej szanse otrzymania prawa do opieki na synkiem Ellen.

Świadom tego, jak mocno pokochała to dziecko, a także entuzjastycznych opinii wyższego i niższego personelu, czuł, że to jeszcze nie pora zgłaszać swoje wątpliwości. Musi przez jakiś czas obserwować ją na swoim oddziale, by zorientować się, czy to on ma rację, czy jego siostra.

Potarł brodę.

- Zdarzają się wyjątki, ale zasadniczo masz rację, Edith. Wykwalifikowana pielęgniarka nie powinna mieć żadnych trudności z opieką nad noworodkiem.

Beth wyraźnie odetchnęła z ulgą, wzniosła oczy do nieba, jakby składała modlitwę dziękczynną,

- Jak dziecko? - zapytała Edith.

- Doskonale, wzięwszy pod uwagę jego traumatyczne pojawienie się na tym świecie. Dostaje teraz glukozę, żeby wyrównać niedobór cukru. Kilka razy zdarzył mu się bezdech, więc jest pod ścisłą obserwacją. Dostaje też kofeinę, a także surfaktant. - Pani White patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Normalnie płuca same wydzielają substancję zwaną surfaktantem lub inaczej czynnikiem powierzchniowym, który obniża ciśnienie powierzchniowe wewnątrz. Bez niego pęcherzyki płucne sklejąją

się, nie zatrzymują powietrza i płuco przestaje pracować. Będzie go dostawał, dopóki organizm nie zacznie sam produkować tej substancji.

- Jakie są pańskie przewidywania? - zapytała Edith, najwyraźniej nie mając ochoty słuchać dalszego ciągu tak trudnego wykładu.

- Optymistyczne. Hipoglikemia powinna ustąpić za kilka dni. RDS lub zespół niewydolności oddechowej zazwyczaj zanika po trzech, pięciu dniach. Nie znaczy to wcale, że można go już zabrać do domu - ostrzegł. - Powinien być monitorowany przez co najmniej trzy miesiące, nawet do pół roku.

- Czy to znaczy, że znajduje się w grupie zagrożonej zespołem nagłej śmierci oddechowej?

- Badania wykazały, że wcześniaki do tej grupy należą - wyjaśnił. Widząc reakcję Beth, zaczął ostrożniej dobierać słowa. - Proszę nie zapominać, że zespół ten określa się jako śmierć bez przyczyny, zatem przy odpowiedniej opiece medycznej Daniel powinien być bezpieczny.

Pani White bacznie obserwowała Beth.

- Rozumiem, że mogłaby się pani nim tutaj opiekować. Gdyby jego stan się pogorszył...

- Natychmiast przewieziemy go do innej kliniki - przerwał jej Tristan. - Nasz oddział jest w trakcie organizacji. Mamy już odpowiednio przeszkolone pielęgniarki - uśmiechnął się. - Zła pogoda zmusiła nas do otwarcia go nieco wcześniej, niż planowaliśmy. Na szczęście stan Daniela nie jest aż tak poważny. Gdyby coś się stało, zrobimy wszystko, żeby otrzymał odpowiednią opiekę.

- Cieszę się, że nie było to konieczne - powiedziała Beth, uśmiechając się łagodnie do dziecka.

Obserwował ją uważnie. Wyglądała jak wszystkie inne, biologiczne matki jego małych pacjentów. Nawet tak samo się uśmiechała. Poczł ukłucie zawiści: jemu nie dane było zobaczyć swojego syna.

- To dobrze, że szpital się rozrasta dla dobra naszego miasteczka. Jestem pewna, że wszyscy rodzice poczują się lepiej, wiedząc, że ich chore maleństwa znajdą pomoc na miejscu - zauważyła Edith White.

- Wszystkich nie możemy przyjąć - stwierdził. - Nie będziemy przyjmowali przypadków kardiologicznych i neurochirurgicznych. Takich chorych będziemy przekazywali tym samym dużym ośrodkom co teraz.

Pani White spojrzała na zegarek.

- Och, jak późno. Proszę mnie informować o jego postępach, doktorze. Jak długo będzie tu przebywał?

Tristan zerknął na noworodka.

- Aż osiągnie właściwą wagę, będzie dobrze jadł i utrzymywał odpowiednią ciepłotę ciała: od tygodnia do trzech.

- Postępowanie sądowe zazwyczaj trwa trzy tygodnie. Na wszelki wypadek poszukam mu kogoś z pogotowia opiekuńczego.

- Z pogotowia? - Beth nie dowierzała własnym uszom.

- Niestety tak. Mogłaby pani otrzymać status rodziny zastępczej, ale załatwienie wszystkich związanych z tym formalności trwałoby tyle samo.

- A opieka medyczna? Bezdech? Czy taka rodzina potrafi się tym zająć?

- Wszystkie nasze rodziny przechodzą kurs pierwszej pomocy.

- I to ma wystarczyć? - Beth była przerażona.

- Proszę się nie martwić - pocieszyła ją pani White. - Żadna z naszych rodzin nie straciła dziecka. - Podała Beth swoją wizytówkę. - Niech pani adwokat skontaktuje się ze mną jak najszybciej. Im wcześniej zaczniemy, tym lepiej.

- Dobrze. - Wpatrywała się w Daniela. - Chciałabym, żeby jak najprędzej znalazł się w moim domu.

- To tylko tydzień albo dwa - powiedział Tristan, gdy pani White się pożegnała. - Ellen na pewno by zrozumiała, gdyby okazało się, że chwilowo nie może pani spełnić obietnicy. Zwłaszcza że nie ma pani na to wpływu.

- Zna pan jakieś rodziny, które adoptowały dziecko?

- Nawet kilka. Przychodzą do mnie ze swoimi maluchami na badania okresowe. To bardzo kochający i oddani ludzie.

- Ma pan dobre doświadczenia, a ja, niestety, złe. Chociaż czułem, że nie na miejscu będzie mówić jej, by się nie martwiła, uczynił to.

- Daniel na pewno znajdzie dobrych opiekunów.

- Chciałabym wierzyć. Chciałabym, ale... - urwała. Powstrzymał przemożną chęć objęcia jej.

- Wszystko zależy od niego. Nie wypuszczę go, dopóki nie będzie zdrowy. Niezależnie od tego, ile miałoby to trwać.

Ciekawość podszeptała mu pewne pytanie. Całkowicie pozbawione osobistych podtekstów, tłumaczył sobie,

- Ma pani adwokata?

- W pewnym sensie. Nazywa się Peter Webster. Znalazłam go w książce telefonicznej, w dziale „Prawo rodzinne”. Jutro mam się z nim spotkać.

- Nie słyszałam o nim. Z której kancelarii?

- Pracuje sam - wyjaśniła niezbyt chętnie. - Ma biuro na Fort Street.

- Nie jest to najlepsza dzielnica. Wczoraj kogoś tam zamordowano. I przedwczoraj.

- Słyszałam. Jestem umówiona w dzień, więc nic mi się nie stanie.

Powstrzymał się od komentarzy. Nie ma prawa wpływać na jej decyzje. To nie jego sprawa, jeżeli Bethany woli prawnika z podłej dzielnicy. Poza tym ten Webster może okazać się świetnym pełnomocnikiem.

Albo nie, podszeptało mu sumienie.

Nie angażuj się, skarciło go jego zbolące serce. Masz się zajmować wyłącznie stanem zdrowia małego Daniela. Nie masz żadnych innych zobowiązań.

Być może, pomyślał, lecz z niewiadomych powodów wystąpił z propozycją:

- Doskonałą opinię ma Mitch Adams. Może z nim należy się skontaktować?

Milczała, wpatrując się w kafelki posadzki. W końcu odpowiedziała, unikając jego wzroku:

- Może tak zrobię.

Od razu pojął, że Bethany tylko tak mówi. Bez trudu domyślił się przyczyny. Firma Adamsa, mieszcząca się przy głównej ulicy, nie należy do tanich.

- Powinna pani spróbować - zachęcał. - Jest świetny w takich sprawach. Panuje opinia, że bierze astronomiczne honoraria, ale to nieprawda. Uważam, że są całkiem znośne. - Sam się o to postara. Mitch ma u mego dług wdzięczności, może nawet więcej niż jeden.

Wydawała się zdziwiona tym zaprzeczeniem powszechnej opinii.

- Spodobałby się pani, chyba że woli pani tego Webstera.

- Nie.

Sięgnął po pióro, napisał domowy numer telefonu Adamsa na kartce i podał jej.

- On się wami zaopiekuje.

Uśmiechnęła się szeroko, lecz po chwili w jej oczach pojawiło się pytanie. To samo, które i on słyszał w swoich myślach. Dlaczego? Dlaczego chce jej pomóc? Skąd ta troska?

- Dziękuję - szepnęła, nim zdążył zastanowić się nad odpowiedzią.

Sięgnął po kartę Daniela, zanim się jednak w nią wczytał, zamyślił się. Zważywszy na ich nie najlepsze wspólne doświadczenia oraz to, że zawsze starał się zachować pewien dystans, jego dzisiejsze zachowanie było bardzo nietypowe. Więc dlaczego Bethany nie powiedziała, co ją trapi?

Mimo to cieszył się, że nie podjęła tego tematu.

Zwłaszcza że jeszcze nie miał gotowej odpowiedzi.

- Śpij spokojnie - szepnęła do Daniela chwilę później. - Do zobaczenia jutro. I nie sprawiaj kłopotu dziewczynom, dobrze?

Noworodek zamrugał powiekami i przesunął piąstką po buzi. Dwa paluszki znalazły się w jego ustach, z czego natychmiast skorzystały bezzębne dziąsła.

Bethany delikatnie wyjęła mu palce z ust.

- Nie życzę sobie żadnych złych nawyków, szkrabie. Przyglądała mu się z uśmiechem na twarzy. Ten widok musi

jej wystarczyć do jutra. Wolałaby wprawdzie kąpać go i karmić w poniedziałkowy poranek, ale to niemożliwe. Musi spotkać się z adwokatem, najlepiej z Mitchem Adamsem.

Zastanawiała się, dlaczego doktor Lockwood tak bardzo interesuje się jej wyborem prawnika. Zazwyczaj wydawał jej jedynie służbowe polecenia. Nigdy nie rozmawiali na tematy osobiste. Chciała go zapytać o powód, ale powstrzymał ją strach. Obawa, że kieruje się litością.

- Masz najlepszego lekarza - zwróciła się do Daniela. - Szkoda, że go jeszcze nie rozgryzłam.

- Ciągle tutaj? - rzuciła dyżurna pielęgniarka, podchodząc do inkubatora z odpowiednimi lekami i sprzętem. Na początek zamierzała zbadać poziom cukru.

- Tylko chwilę. Muszę wracać do swoich zajęć. Dziękuję wam za opiekę nad Danielem. Nie spuszczacie go z oczu. Na porodówce pusto? - zażartowała.

- Skądże znowu! - odparła Ann, dezynfekując skórę na pięcie noworodka. Drasnęła ją lancetem i pobrała kroplę krwi. Nie otwierając oczu, malec wykrzywił buzię i zapłakał.

- Już po wszystkim, skarbie. Śpij spokojnie - szepnęła. Paluszki Daniela znowu powędrowały do ust. Tym razem

Beth nie miała serca odbierać mu tej pociechy.

- Nasze plany przewidują jedną pielęgniarkę na dwóch pacjentów. - Ann nawiązała do wcześniejszego pytania Beth.

- Lubisz tę pracę, prawda?

- Bardzo - przyznała Ann. - Cieszę się, że jesteś z nas zadowolona. Wszystkie bardzo troszczymy się o Daniela. Poza tym wysoko cenimy doktora Lockwooda i nie życzymy mu najmniejszej porażki.

Jak on doprowadził do takiej grupowej lojalności? Jej własne doświadczenia wskazywały, że niełatwo go polubić.

- Zdarzają mu się niepowodzenia? - zainteresowała się. Ann przytaknęła. Szykując się do odejścia, zbierała zużyte waciki, lancet i odczynniki.

- Stoczył z władzami istny bój o Daniela.

- Dlaczego? - zdumiała się Beth. - Przecież macie tu cały wymagany sprzęt.

- Owszem, ale tylko połowa pielęgniarek przeszła odpowiednie szkolenie, więc na razie nie mamy pełnej obsady. Władze obawiają się, że możemy nie sprostać zapotrzebowaniu. Gdyby coś się stało, szpital, a szczególnie doktor Lockwood, nie opędziłby się od wścibskich urzędników. Podjął ogromne ryzyko.

Im więcej o nim wiedziała, tym bardziej ją intrygował. Nie wyglądał na człowieka, który lubi podejmować ryzyko.

- Taki oddział to jego marzenie. Dąży do tego już od kilku lat. Dyrekcja wydała ostateczną zgodę, kiedy na wiosnę zatrudniliśmy kolejnego pediatrę, doktora Silvertona - zniżyła głos. - Śmierć Ellen bardzo mnie poruszyła. Nie znałam jej osobiście, ale była jedną z nas. Przez wzgląd na jej pamięć oraz na ciebie wszystkie staramy się zapewnić Danielowi jak najlepszą opiekę. To bardzo znamienne, że jej syn jest pierwszy na tym oddziale.

- Dziękuję wam - szepnęła Beth. Powagę chwili zburzył odgłos glukometru.

- Pięćdziesiąt pięć - zauważyła Ann. - To dobrze. Chcemy, żeby nie schodził poniżej czterdziestu. Czy to prawda, że zostałaś przeniesiona na pediatrię?

Szły już w kierunku drzwi.

- Zaczynam w środę, bo we wtorek jest pogrzeb Ellen. Prawdę mówiąc, trochę się boję. Przyzwyczyłam się do doktora Sullivana.

Ann pozostawiła to wyznanie bez komentarza.

- Nasi pediatrzy są wspaniali, szczególnie doktor Lockwood. Potrafi być niemiły, ale jest wyjątkowo oddany pacjentom. Wystarczy poznać jego reguły gry - pouczyła ją koleżanka.

Beth miała pewne wątpliwości, mimo to postanowiła zrobić wszystko, by pokazać się Lockwoodowi z najlepszej strony. Nie może stracić pracy ani narazić się na jego protest w sprawie o adopcję. Dla dobra Daniela zrobi wszystko.

Przez kolejne dwa dni miała tyle pracy, że nie wystarczyło jej czasu nawet na myślenie. Teraz jednak, gdy siedziała sama w pokoju Elien, poczuła, że opuszcza ją wszelki hart ducha. Ze ściśniętym sercem i łzami w oczach spoglądała na biżuterię przyjaciółki, którą oddano jej przed pogrzebem.

Pierścionek... Zmatowiały szmaragd w niczym nie przypominał pięknego kamienia, który widywała na palcu Ellen. Chcąc przywrócić mu poprzedni blask, potarła go o czarną tkaninę sukni. Bez rezultatu. Ten blask, jak i właścicielka pierścionka, odeszli już na zawsze.

- Pomyślałam, że tutaj cię zastanę. - Z zamyślenia wyrwał ją znajomy głos Naomi. Włożyła pierścionek do kasetki Ellen, tuż obok jej ulubionej bransoletki.

- Robię mary przegląd - wyjaśniła. Naomi usadowiła się na łóżku.

- Panna Porządnicka - rzekła z rozrzewnieniem. - Przez ciebie przegrałam zakład z Kirsten.

- Jak to?

- Znamy twoje sposoby na stresy. Kirsten twierdziła, że nie weźmiesz się do sprzątanania, ja - że natychmiast to zrobisz. Przyjechałyśmy w poniedziałek rano, a nie widziałam, żebyś coś odkurzała, chociaż mamy już wtorek. Teraz będę musiała gotować przez dwa tygodnie - zauważyła ponuro.

Beth uśmiechnęła się. Jak one mnie znają...

- Wcale nie.

- Wiedziałam! - ucieszyła się Naomi. - Zaraz jej to powiem!

- Co takiego? Komu? - Kirsten właśnie weszła do pokoju, w którym Ellen zmieściła ogromne łóżko, łóżeczko dziecinnie, sporych rozmiarów komodę, fotel i kilka kartonów z napisem „Dziecko”.

- Odkurzałam dzisiaj rano - przyznała się Beth.

- Kiedy? - zdziwiła się Kirsten, podejrzliwie mrużąc oczy o barwnych tęczęwkach.

- Jak wyszłyście na zakupy.
- To spisak. Dobrze wiecie, że nienawidzę gotować!
- To tylko dwa tygodnie - pocieszała ją Naomi.
- Racja - westchnęła Kirsten. Nagle jej twarz rozjaśniła się. - Jak ci się podoba stół do przewijania, który kupiliśmy dla Daniela? Jaki tani! Dobrze, że Ellen zrobiła listę sklepów z rzeczami dla dzieci. To ja ją tego nauczyłam.
- Ciąg dalszy wykładów naszego eksperta od organizacji - jęknęła Beth, udając znużenie.
- Czy Daniel potrzebuje czegoś konkretnego? - zapytała nagle Naomi.
- Chyba nie. Ellen prosiła, żebym uszyła dla niego kilka rzeczy. Miała już materiały. Nie zajmie mi to dużo czasu.
- Ciasno tu. - Kirsten rozejrzała się po pokoju.
- Kiedyś wyniosę to łóżko, ale na razie łóżeczko Daniela musi stać w rogu. Jego rzeczy bez trudu zmieszczą się w szafie.
- Z przykrością myślała o pakowaniu dobytku przyjaciółki do kartonów i wynoszeniu ich na strych, ale był to zabieg nieodzowny.
- Zróbmy to teraz. Chyba że jeszcze nie chcesz.
- Może lepiej będzie, jeżeli zajmą się tym razem? Może w ten sposób łatwiej pogodzą się z tą bolesną stratą?
- Czemu nie?
- Czując się jak intruz, wysunęła górną szufladę komody i znieruchomiała, nie mogąc złapać tchu.
- Co się stało? - zaniepokoiła się Naomi.
- Nic. Zapomniałam, że zawsze trzymałam kawałek pachnącego mydła w bieliźnie. Zaskoczył mnie ten zapach. Wydawało mi się, że ona tu jest. - Podała Naomi poskładaną bieliznę.
- Pytałyśmy o tego Lockwooda. - Naomi uznała, że należy zmienić temat. - Wszyscy mówią, że to znakomity pediatra.
- Wiem - odparła podejrzenie obojętnym tonem, odwracając wzrok.
- Kirsten i Naomi wymieniły spojrzenia.
- Masz jakieś obiekcje?
- W jego obecności strasznie się denerwuję i zdarzają mi się kompromitujące pomyłki. Niestety, przeniesiono mnie na jego oddział. Od jutra.
- Za bardzo się starasz. Zrelaksuj się. On jest taki sam jak każdy inny lekarz.

To nieprawda, pomyślała. Pomimo nie najlepszych stosunków między nimi, czuła, że ten człowiek ją pociąga. Dziwnie często, szczególnie w chwilach słabości, wspominała ten wieczór, gdy ją objął.

Kirsten uznała temat doktora Lockwooda za wyczerpany i zmieniała temat.

- Geszę się, że chcesz adoptować Daniela - powiedziała, podając Beth stertę niemowlęcych ubranek. - Chociaż martwi mnie, że niewiele mogę ci pomóc.

- Poradzę sobie.

- Czasami będziesz musiała mieć trochę czasu dla siebie - stwierdziła rzeczowym tonem Naomi. - Będziemy przyjeżdżać w każdy wolny weekend. Z przyjemnością podejmę się roli cioci.

- Do głowy mi nie przyszło, że będę miała dziecko. Wyobrażałam sobie, że najpierw znajdę męża. Takiego, któremu to nie będzie przeszkadzało. - Poglądziła zniamię na szyi.

- Życie nie zawsze układa się zgodnie z planem - zauważyła filozoficznie Kirsten. - Poza tym faceci, dla których najważniejszy jest wygląd, nie zasługują na ciebie.

- Wiem, że to bez sensu, ale mam wyrzuty sumienia, że to ja będę cieszyć się Danielem, a nie jego matka.

- Ellen wybrała właśnie ciebie - przypomniała Naomi.

- Zastanawiam się - zaczęła Kirsten, składając kocyk - dlaczego nigdy nie wspomniała o jego ojcu.

- Ani słowem - potwierdziła Beth. - Zapytałam ją o to, ale szybko zmieniała temat.

- Myślicie, że była to przygoda jednej nocy? - rzuciła Naomi. - Burza namiętności?

- Na pewno nie. Ellen marzyła o założeniu rodziny, której sama nie miała. Tak jak ja - dodała półgłosem, zamykając czwartą szufladę. - Możemy snuć domysły w nieskończoność, ale niczego nie wymyślimy. Nie wspominała o nim, więc nic o nim nie wiemy. To mógł być każdy.

- Czy adwokat mówił coś na temat problemów, jakie może stwarzać ten tajemniczy tatuś?

- Nie. - Przypomniała sobie spotkanie z Mitchem Adamsem. - Mówił, że sędziowie są różni. Niektórzy bywają wyjątkowo ostrożni w sprawach o adopcję. Nie martwmy się na zapas.

Wysunęła dolną szufladę i sięgnęła po ułożone tam koszule i sweterki. Wyczuła pod palcami coś twardego.

Jej oczom ukazało się stare pudełko po cygarach.

- To jej skarbczyk. Ostatni raz widziałam go jeszcze w domu dziecka. Chowała w nim swoje największe skarby.

- Otwórzmy!

- Zamknięte na kluczyk.

- Gdzie on może być?

- Sprawdź w kasetce z biżuterią.

- Nie ma.

- Zastanówmy się, gdzie mogła go ukryć.

- W biurku? - zasugerowała Kirsten.

- Zajrzyj.

Kirsten wybiegła z pokoju, po chwili jednak wróciła z pustymi rękami.

- Nigdy jeszcze nie wyłamywałam zamków, ale myślę...

- Wykluczone - zaprotestowała Beth stanowczo. - Nie ma mowy. To jest jej spadek. Odziedziczyła to pudełko po babci, a teraz dostanie je Daniel. Nie wolno go niszczyć dla zaspokojenia ciekawości. Kluczyk się znajdzie, i wtedy je otworzymy.

- Beth ma rację - stwierdziła Naomi. - Poczekamy. Schowała pudełko na dno szuflady. W głębi duszy cieszyła się z takiego obrotu sprawy. Prywatność była wyjątkowo cennym przywilejem w internacie i każdy strzegł jej jak oka w głowie. Grzebanie w cudzych rzeczach należało do niewybaczalnych wykroczeń.

Dzisiaj już i tak naruszyła prywatność Ellen. Ale nie miała wyboru. Oglądanie największych skarbów przyjaciółki kilka dni po jej śmierci uznała za niestosowne.

Przez moment miała nadzieję, że upłynie sporo czasu, zanim znajdzie kluczyk.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jak gardło? - zagadnęła Beth pięcioletnią Millie podczas obchodu następnego dnia.

- Boli. - Dziewczynka skrzywiła się.

Nic dziwnego. Gardło musi trochę boleć po zabiegu usunięcia migdałków.

- Może chcesz loda? - zaproponowała, spoglądając na udręczoną twarz pani Dodd.

- Tak! Wiśniowego!

- A jeżeli już nie będzie wiśniowych, to jaki może być?

- Pomarańczowy - sapnęła Millie.

- Zaraz ci przyniosę.

Pospieszyła do kuchenki i otworzyła zamrażalnik. Millie miała szczęście: stały tam dwa kartony lodów o smaku wiśniowym i pomarańczowym.

Po chwili wróciła do pani Dodd.

- A jak pani się czuje?

- Dobrze. Trochę jestem zmęczona - westchnęła. - Doktor powiedział, że parę godzin po zabiegu Millie będzie mogła iść do domu. I po krzyku.

- Zazwyczaj właśnie tak to wygląda.

Pani Dodd spojrzała na córeczkę pochłoniętą lizaniem loda i oglądaniem telewizyjnej kreskówki.

- Proszę nie myśleć, że się żalę. Kiedy doktor zdecydował, że zabieg należy wykonać natychmiast, po prostu nie byłam na to emocjonalnie, przygotowana.

- Teraz już będzie dobrze. Przede wszystkim należy zapewnić jej spokój i bacznie obserwować wszelkie zmiany.

- Kiedy przychodzi doktor Lockwood?

- Około szóstej. - Mary Peabody, przełożona pielęgniarek na oddziale pediatrycznym, utrzymywała, że Lockwood nigdy się nie spóźnia. Po zapoznaniu się z jego rozkładem zajęć Beth postanowiła zrobić sobie przerwę na kolację podczas obchodu. Po chwili jednak zmieniła zdanie, doszedłszy do wniosku, że jeżeli będzie go unikać, nigdy mu nie pokaże, co potrafi. - Zawiadomię panią, gdyby coś się zmieniło.

Po drodze do następnego pacjenta podsumowała swój pierwszy dzień na tym oddziale. Żadne z dzieci nie było w stanie ciężkim, a większości

doglądali rodzice. Sytuacja wręcz idealna, by zapoznać się z funkcjonowaniem oddziału.

Lecz ten spokój ją męczył. Wolałaby, żeby coś się działo. Mogłaby wtedy przestać myśleć o Danielu, zapomnieć o tym, że leży teraz z zasłoniętymi oczami pod lampą ultrafioletową.

Żółtaczka fizjologiczna występuje wśród noworodków bardzo często z powodu niedoskonałości pracy wątroby. Większość wychodzi z niej bez żadnych komplikacji. Mimo że aie było powodu, by akurat u Daniela podwyższony poziom bilirubiny miał uszkodzić komórki mózgowie, z pewnym niepokojem czekała na wyniki kolejnych badań.

Popatrzyła na zegarek. Za dwie godziny będzie przerwa na kolację. Wtedy też zajrzy do Daniela.

Zbliżając się do następnego pokoju, usłyszała, jak ojciec pacjenta czyta mu jakąś książkę. Odczekała, aż pan Reed skończy stronę.

- Cześć, Phillip. To ja, Beth. Co słyszeć?

Trzylatek odwrócił głowę w jej stronę. Białe bandażę zakrywające oczy kontrastowały z jego czekoladową buzią.

- Tata czyta mi o trzech świnkach. I o wilku.

- To chyba bardzo fajna historia - udała zainteresowanie. - Jak oczy?

- Swędzą. Ale nie dotykam, bo tata i pan doktor powiedzieli, że nie wolno dotykać, bo się nie zagoją. A ja już nie chcę nosić okularów.

- Dzielny jesteś - pochwaliła go.

Phillip miał rozbieżnego zęza. Gdy zawiodły wszystkie metody nieinwazyjne, zdecydowano się na operację.

- Kiedy będziemy jedli? - zapytał chłopczyk z nadzieją w głosie.

- Przed chwilą jadłeś - zauważył ojciec.

- Ale jestem głodny. Beth roześmiała się.

- Już niedługo. - Poglądziła go po ramieniu.

Gdy tylko wyszła na korytarz, natknęła się na Mary.

- Musimy przyjąć pacjenta doktora Lockwooda, Toby'ego Hilla. Ma cztery lata. Na dole zabrakło już łóżek, więc kogo się da, kierują do nas. Dostaniesz jedną z dziewcząt do pomocy.

Ledwie zdążyła sprawdzić stan gotowości gabinetu, już otworzyły się drzwi windy, z której wysiadła Katie, prowadząc za sobą drobną kobietę z dzieckiem na ręku oraz wysokiego mężczyznę.

- Teraz Bethany zajmie się państwem. Doktor Lockwood przyjdzie za chwilę - poinformowała Katie, po czym się oddaliła.

- Co się stało? - zapytała Beth, zapraszając panią Hill, by usiadła.

- Toby nie może przełykać i mówi, że boli go gardło - powiedziała matka, zdejmując chłopcu kurtkę. - Miał już kiedyś anginę i zapalenie migdałków, ale wtedy tak nie wyglądał.

Chłopiec wyciągał szyję niczym żółw ze skorupy, ślinił się i oddychał bardzo powoli.

Beth wydawało się, że dziecko ma wysoką temperaturę. Termometr potwierdził jej podejrzenia: czterdzieści stopni.

Mimo że spodziewała się Lockwooda, jego przybycie ją zaskoczyło. Postaraj się, upomniała sama siebie.

Pani Hill ponownie przekazała swoje spostrzeżenia, podczas gdy Tristan czytał notatki Beth.

Poczuła się niepewnie: wiedziała, że objawy są poważne, lecz nie miała pojęcia, co jest ich przyczyną.

Tristan przeszedł do badania Toby'ego.

- Woli leżeć czy siedzieć?

- Cały czas trzymam go na rękach. Nie chce inaczej - odparła matka.

- Otworzysz buzię? - zapytał malca.

Toby potrząsnął głową i mocniej przylgnął do matki.

- To nie jest konieczne - wyjaśnił pediatra.

Nim Beth zdołała sobie wytłumaczyć tę dziwną metodę badania pacjentów, Tristan odezwał się rzeczowym tonem:

- Podejrzewam infekcję bakteryjną błon śluzowych nagłośni. To taka niewielka chrząstka u nasady języka, zamykająca tchawicę podczas przełykania, aby jedzenie nie dostało się do płuc. W przypadku Toby'ego zachodzi obawa, że obrzęk śluzówki kompletnie zablokuje dopływ powietrza.

Diagnoza ta zmobilizowała Beth. Starając się nie budzić niczych podejrzeń, przygotowała na sąsiednim stole zestawy do tracheotomii oraz intubacji. Jednocześnie szukała wzrokiem szafki z lekami.

Już wiedziała, dlaczego Tristan nie upierał się, by obejrzeć gardło. Każdy ruch mógł spowodować skurcz krtani i odcięcie dopływu powietrza do płuc.

- Można podać mu antybiotyki, ale na wszelki wypadek włożymy mu przez nos rurkę do tchawicy. Lepiej zrobić to zaraz, nie czekając na pogorszenie. Tak będzie bezpieczniej.

- Proszę robić, co należy - szepnęła pani Hill.

- Zabieg przeprowadzimy na sali operacyjnej i pod narkozą, żeby Toby nie stawiał oporu. Zrobimy mu wówczas bronchoskopię, aby zbadać drogi oddechowe, a następnie założymy cewnik do oddychania, damy kroplówkę i zrobimy wszystkie badania laboratoryjne. Niczego nie poczuje.

- Rozumiem. Jak długo będzie miał tę rurkę?

- Co najmniej trzy dni. Nie warto wyjmować jej za wcześnie, bo może zająć potrzeba ponownego jej założenia. Najpoważniejsze objawy zapalenia przejdą po dwudziestu czterech godzinach, ale na powrót do normalnego stanu gardła trzeba będzie poczekać nieco dłużej. - Rodzice dziecka milczeli. - Zjedziemy teraz na dół - rzucił, jakby nie spodziewając się słowa sprzeciwu z ich strony, a następnie zwrócił się do Beth: - Proszę zawiadomić salę operacyjną i skontaktować się z radiologią. Będzie mi potrzebne zdjęcie boczne szyi. Ponadto proszę o morfologię z rozmazem i posiew krwi, no i jeszcze kroplówkę z amoksycyliny i chloramfenikolu. Jasne?

Przytaknęła. W tej samej chwili do gabinetu weszła Mary.

- Proszę nie spuszczać go z oka - dodał.

- Ty, Beth, idź z państwem - poleciła przełożona - a ja przekażę zlecenia.

W ostatniej chwili Beth chwyciła zestaw do tracheotomii i ruszyła w kierunku windy. Przejazd na salę operacyjną to kwestia kilku zaledwie minut, ale lepiej żeby była przygotowana na każdą okoliczność.

W windzie stanęła obok Tristana. Dzielili uwagę między obserwowanie Toby'ego, numery mijanych pięter i zapach wody z drzewa sandałowego, który przypomniawszy jej wieczór, gdy Tristan odwiózł ją do domu.

W pewnej chwili kabina zatrzymała się tak gwałtownie, że Beth straciła równowagę. Upadłaby, gdyby Tristan jej nie podtrzymał. Przez chwilę znowu czuła uścisk jego ramion.

- W porządku?

Przytaknęła, oszołomiona jego bliskością.

- A państwo? - zwrócił się do rodziców Toby'ego.

- Też - odparł pan Hill. - Co się stało?

Beth zerknęła na rząd światełek kontrolnych. Dwójka świeciła się na czerwono, lecz drzwi się nie otwierały.

- Nie wiem - powiedział Tristan, naciskając bez rezultatu kolejne przyciski. - Coś podobnego... - rzekł półgłosem i znacząco zerknął na zawiniątko w dłoniach Beth. - Miejmy nadzieję, że obejdzie się bez tego.

Pani Hill wpadła w panikę.

- Co teraz będzie? On umrze w tej windzie! To straszne! Beth położyła jej ręce na ramionach.

- Nic się nie stanie - powiedziała bez cienia wahania. - Nic mu nie będzie, pod warunkiem, że zachowa pani spokój. Proszę głęboko odetchnąć i uspokoić się. On wyczuwa pani strach, więc proszę wziąć się w garść.

Tymczasem Tristan nacisnął przycisk alarmowy. Rozległ się przeraźliwy odgłos syreny. W tej samej chwili Toby jeszcze mocniej przywarł do matki. Na jego rozpalonej twarzyczce malowało się przerażenie.

- On się boi syren - wyjaśnił pan Hill. - Panicznie. Tristan puścił przycisk, syrena umilkła, a buzia dziecka nieco się rozpuściła.

- Miejmy nadzieję, że nas usłyszeli - szepnął Tristan. - Nie chcę bardziej go denerwować. Nie chciałbym być złośliwy, ale ta winda nie odpowiada wymaganym standardom.

Beth przytaknęła.

- Jesteśmy prawie na drugim piętrze - zauważyła. - Może uda się nam otworzyć drzwi. - Zaczęła grzebać w kieszeniach. Znalazła tylko hemostat z nierdzewnej stali i nożyczki do cięcia bandaży.

- Lepsze to niż nic - stwierdził, wybierając hemostat. Pan Hill zbliżył się do drzwi.

- W czym mogę pomóc?

- Proszę uspokoić żonę. I powiedziec nam, gdyby Toby zaczął mieć większe kłopoty z oddychaniem.

Wsunął hemostat w wąską szparę w drzwiach. Po chwili Beth już mogła uchwycić palcami ich krawędź. Zaczęli ciągnąć z całej siły. Odstęp poszerzał się bardzo powoli, aż w końcu puściły metalowe zapory. Okazało się, że zatrzymali się metr nad podłogą drugiego piętra.

Beth cofnęła się i przywarła plecami do ściany. Zaniknęła oczy, tłumiąc mdłości. To tylko jeden metr, tylko metr, powtarzała. Pomyśl o pacjencie, a nie o swoich lękach.

- Zeskoczę pierwszy, a pani poda mi Toby'ego - odezwał się Tristan. - Zaniosę go do sali operacyjnej i przyślę tu kogoś.

Wyśmienity pomysł, pomyślała Beth. Tristan pogładził chłopca po plecach.

- Wsiądziesz ze mną?

Toby, bliski łez, przecząco pokręcił głową. Na nic zdały się prośby i zapewnienia rodziców. Po chwili zaniósł się głośnym płaczem.

Beth przeraziła się, że będą zmuszeni skorzystać z zestawu, który przezornie z sobą zabrała. Tristan znalazł inne rozwiązanie.

- Wsiądę pierwszy, pan za mną, przejmie pan Toby'ego, a ja pomogę wsiąść żonie.

Po chwili obaj stali już pod windą.

- Widzisz? Tatuś weźmie cię na rękę, żebym mogła do was zejść - tłumaczyła pani Hill.

Toby ucichł, zaintrygowany niezwykłą przygodą. Akcja przebiegła sprawnie. Na koniec Tristan podał rękę Beth.

- Teraz ty.

Odmówiła. Nie chciała tłumaczyć mu, jak bardzo boi się wysokości; że już na pierwszym szczeblu drabiny robi jej się słabo.

- Poradzę sobie. Trzeba zanieść Toby'ego na salę operacyjną.

Po chwili niezdecydowania Tristan zapewne pojął, co kryje się za jej słowami.

- Kogoś tu przyślę - powiedział, uśmiechając się znacząco. - Nie odchodź daleko.

- Postaram się.

Kucnęła pod ścianą kabiny i ogarnęło ją uczucie zadowolenia, takie samo jak wówczas, gdy wraz z lekarzami udawało się jej wygrać walkę o życie pacjenta. Toby będzie żył. Nie miała co do tego wątpliwości.

Mogła teraz spokojnie przemyśleć ostatnie wydarzenia. Zdała sobie sprawę z czegoś, co wcześniej wydawało się jej absolutnie niemożliwe. Otóż mimo awarii windy, mimo obecności Tristana Lockwooda, zaprezentowała się z najlepszej strony. Wszystko odbyło się zgodnie z przewidzianą procedurą: niczego nie upuściła, nie rozlała, nie potknęła się. Roześmiała się uszczęśliwiona.

Nareszcie wróciła jej pewność siebie, przynajmniej w sprawach zawodowych.

- Podobno coś się popsuło. - Usłyszała głos Harolda, szpitalnego mechanika, i ostrożnie przysunęła się do otworu.

- Jak widzisz - odparła beztrąsko. Nic nie było w stanie zburzyć jej dobrego nastroju.

- Słyszeliśmy alarm, ale pomyśleliśmy, że to dzieciaki robią sobie żarty. Wczoraj był tu konserwator.

- Być może. Ale dalej coś tu szwankuje.

- Jeżeli się spieszysz, pomogę ci zeskoczyć. To nie jest wysoko.

Zawahała się. Powinna wracać na oddział.

- Ile potrwa spuszczenie windy? Otworzył szafkę, by sprawdzić instalację.

- Trudno powiedzieć. Kilka minut albo godzinę. Zależy, co się stało. - Podrapał się w głowę. - Może trzeba będzie wezwać konserwatora.

- Zaczekam jeszcze pięć minut - zdecydowała - a potem zeskoczę.

Wycofała się na bezpieczną odległość. Na szczęście już po chwili winda powoli zjechała do poziomu progu.

Wychodząc na korytarz, miała ochotę ucałować podłogę.

- Dziękuję ci, Harold.

- Po to tu jestem.

Wracała na swój oddział schodami. Wydały się jej tysiąc razy bezpieczniejsze od tej klatki zawieszanej na stalowej linie. Właśnie rozwożono kolację.

- Zadzwonili do nas z operacyjnej i już wszystko wiemy! - krzyknęła Mary na jej widok. - Ale przygoda! I to pierwszego dnia pracy!

Beth uśmiechnęła się. Tristan zadbał o wszystko.

- Trochę denerwująca. Na razie wolę schody.

Mary sięgnęła po dwie tace i ruszyła w stronę jednego z pokoi.

- Jak będziemy miały wolną chwilę, musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się stało.

Włączyła się w nurt pracy: roznosiła kolację, nalewała wodę, karmiła łyżeczką dziewięciomiesięczną niemowlę, a na koniec dała chwilę wytchnienia matce małej Millie i zagrała z dziewczynką w Czarnego Piotrusia.

Wreszcie przywieziono Toby'ego. Gdy wraz z drugą pielęgniarką przeniosły go na szpitalne łóżko, podłączyły kroplówkę i sprawdziły czynności życiowe, poczuła, że zasłużyła na przerwę..

Pragnąc jak najwięcej czasu spędzić z Danielem, po drodze wypila tylko puszkę soku warzywnego. Już na miejscu umyła ręce i przebrała się w obowiązujący tam strój.

- Bałam się, że nie przyjdiesz - powitała ją Ann. - Dużo macie tam roboty?

- Urwanie głowy.

- Dostałam najnowsze wyniki poziomu bilirubiny.

- Niższy? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Nie. Ale przestał się podnosić.

- To też cieszy.

- Jego kolacja jest gotowa. Chcesz dostąpić zaszczytu?

- Nie musisz powtarzać mi tego dwa razy!

Ann podała jej butelkę z mieszanką. Beth otworzyła inkubator i podniosła Daniela do pozycji niemal siedzącej. Jedną ręką podtrzymując jego główkę i plecy, drugą podała butelkę.

- Jesteś głodny?

Bezzębne dziąsła natychmiast zacisnęły się na smoczku. Po chwili Daniel ssął łapczywie, pomrukując z zadowolenia.

- Ojej! Jaki z ciebie żarłok! - mruknęła uradowana. Ann zajrzała jej przez ramię.

- Je prawidłowo. Jeżeli nic się nie zmieni, wkrótce odłączymy kroplówkę.

- Słyszałeś? Ale będzie dobrze bez tych okropnych rurek!

Przemawiała do niego bez chwili przerwy, z radością obserwując, jak wodzi za nią spojrzeniem. Nie mogła doczekać się chwili, w której weźmie go na ręce.

Opróżniwszy butelkę do samego końca, Daniel przymknął oczka i zwolnił uścisk szczęk. Wyciągnęła mu smoczek z buzi i podparła do pozycji siedzącej. Gładząc go po pleckach, czekała na efekt.

- Taki mały człowieczek i takie wielkie czknięcie - pochwaliła go z uznaniem.

Rozstawiała się z nim bardzo niechętnie. Ułożyła go tak, by nie zadławił się, gdyby ułał pokarm. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby przez jej nieuwagę stało mu się coś złego.

Tristan stał oparty o framugę drzwi i obserwował ją nie zauważony. Bethany, która zajmowała się Tobym oraz Danielem, w niczym nie przypomina tamtej Bethany, z którą pracował przez tyle miesięcy na oddziale nagłych wypadków. Ta Bethany jest uosobieniem wdzięku i opanowania - cech, które dostrzegali w niej wszyscy lekarze oprócz niego.

Nancy miała rację: to jego oschłość prowokowała wszystkie jej potknięcia. Powinien sam to zauważyć, ale był zbyt pochłonięty własnymi problemami, planami, lękami...

Pochylała się nad inkubatorem i mimo że była zwrócona do niego plecami, słyszał jej śpiewny głos. Ponadto, nie mógł zaprzeczyć, z upodobaniem patrzył, jak kołysze biodrami, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dłuższego czasu coś takiego przyciągnęło jego uwagę.

W skrytości ducha przyznał, że chociaż nie wie dlaczego, to Bethany go pociąga. Tłumaczył to sobie uczuciami sympatii, empatii, rozbudzonym na nowo popędem fizycznym, a także pewnym poczuciem winy.

Może wszystko wróciłoby do normy, gdyby, idąc za radą Nancy, przeprosił ją? Oznaczałoby to rezygnację z życia skoncentrowanego wyłącznie na sprawach zawodowych, ale może przy okazji przestałyby go nękać myśli o Bethany.

Postanowił odzyskać spokój duszy i ruszył w stronę Bethany, która zapewne nie spodziewa się jego przeprosin.

- Pomyślałem, że na pewno tu panią znajdę.
- Zaczynam być niewolnicą przyzwyczajęń.
- Długo czekała pani w tej windzie? Uśmiechnęła się.
- Kilka minut.
- Trzeba było wyskoczyć z nami. Co by było, gdyby liny puściły?
- Nie puściły.
- Nie mieliśmy tej pewności. Poza tym mogło tak się złożyć, że musiałaby pani czekać wiele godzin.
- Ale nie musiałam - zauważyła. - Mam lęk wysokości. Upłynęłoby bardzo dużo czasu, zanim zebrałabym się na odwagę. Nie mogłam opóźniać zabiegu Toby'ego.
- Nigdy bym nie podejrzewał...
- Dajmy temu spokój. Najważniejsze, że Toby w porę dotarł do sali operacyjnej.
- Owszem, ale gdy pomyślę, co mogło się stać... - Potrząsnął głową. - Sytuacja mogła przybrać naprawdę dramatyczny obrót.
- Ale nie przybrała.
- Dzięki pani.
- Ja nic nie zrobiłam.

- Może nie bezpośrednio, ale zachowała się pani po prostu wspaniale. Uspokoiła pani matkę Toby'ego, co z kolei jego uspokoiło. Miała pani w kieszeni hemostat, a ja miałem tylko kilka monet.

- Daniel pochłoniął dzisiaj prawie 90 mililitrów mieszanki - oznajmiła zażenowana, pragnąc zmienić temat.

Zorientował się, że Bethany nie umie przyjmować pochwał. Musi o tym pamiętać.

- Świetnie się spisuje - przyznał. - Nie zdziwiłbym się, gdyby pod koniec tygodnia można było go przenieść do normalnego łóżeczka.

- Naprawdę? - W jej oczach zamigotały złote iskierki. Przytaknął. Jego uwagę przyciągnęły sine kręgi pod jej oczami.

- Jak pani się czuje?

- W porządku - odparła, unikając jego wzroku, i zakłopotana potarła czoło. - Mam tyle spraw do załatwienia: ubezpieczenie samochodu, zdrowotne, majątkowe. Nie kończąca się litania. Czasami aż mi ręce opadają.

Znał to z własnego doświadczenia, lecz jemu pomagała rodzina, a przyjaciółki Bethany nie były w stanie jej wesprzeć.

- Poza tym jest jeszcze Daniel - dodała półgłosem. Zastanawiał się, w jaki sposób sformułować kolejne trudne pytanie.

- Nadal chce pani go adoptować?

- Oczywiście - odparła bez namysłu.

- Mogę coś doradzić? Proszę nie brać wszystkiego na siebie. Jest dużo ludzi, którzy chętnie pani pomogą.

Zacisnęła wargi.

- Weźmy sprawę samochodu. Jeszcze go pani nie ma, prawda? I wraca do domu piechotą?

Poczuła, że się czerwieni.

- Normalnie...

- Każdy z obecnych na tym dyżurze może panią podwieźć. Na przykład Mary i Ann. A także ja.

- Nie lubię się narzucać.

W tej chwili pojawił się, co było przyczyną nieufności, którą już dawno temu ujrzał w jej wzroku. Zapewne w dzieciństwie dano jej odczuć, że jest ciężarem. Nic zatem dziwnego, że przyjaźń tych czterech dziewcząt przetrwała do tej pory.

- Nikt nie pomyśli źle o pani tylko dlatego, że poprosi pani o pomoc.

- Pewnych nawyków trudno się wyzbyć. - Tym razem patrzyła mu prosto w oczy.

Jak on to rozumie! Sam unikał wszelkich emocjonalnych związków: najpierw przyczyną była rozpacz, później pamięć o zmarłej żonie.

- Ale jest to możliwe. Pod warunkiem, że na ich miejsce znajdziemy coś lepszego.

- Zapamiętam tę radę, doktorze. Dobranoc.

Gdy już zniknęła za drzwiami, uprzytomnił sobie, że zapomniał o przeprosinach. Niemniej zrobił już pierwszy krok.

Minęło dziesięć dni. W sobotę Beth jak na skrzydłach biegła do sali wcześniaków. Poziom bilirubiny spadał, skończyły się naświetlania.

Gdy tylko weszła, natychmiast zauważyła Tristana i grupę pielęgniarek pochylonych nad inkubatorem Daniela. Co się stało? Sztuczne oddychanie? Dlaczego nikt jej nie zawiadomił?!

W pośpiechu myła ręce i przebierała się.

- Co się stało?!

- Zobacz, kto przyszedł! - powiedziała jedna z pielęgniarek, uśmiechając się promiennie.

Zdziwiona takim powitaniem, spojrzała na Tristana.

- Lubi pani niespodzianki? - zapytał. Zerknęła na Daniela.

- Nie ma cewnika ani kroplówki! - ucieszyła się.

- Od kilku minut jest samodzielny. Przenosimy go do zwyczajnego łóżeczka. Zjawiła się pani w samą porę.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Tristan otworzył inkubator i wyjął z niego Daniela w świeżej pieluszcze. Pielęgniarka podsunęła mu materacyk przykryty koczykiem. Już po chwili dziecko leżało wygodnie na ręce Tristana.

- Cześć, szkrabie. Masz bardzo ważnego gościa. - Uśmiechnął się do oseska, potem do Beth. - Jest pani gotowa?

Nareszcie przyszła ta długo oczekiwana chwila. Beth bez słowa podsunęła ramię.

Wpatrywała się w maleństwo, które zdawało się bardzo zainteresowane rym zamieszanem. Delektowała się jego rozkosznym ciężarem, zapachem, kruchością.

- Witaj, skarbie. Mam na imię Beth i będę twoją mamą. Daniel wsunął dwa paluszki do buzi.

Z trudem oderwała od niego wzrok, by popatrzeć na otaczający ich krąg pielęgniarek. Wszystkie miały łzy w oczach.

- Stale to powtarzam, ale to ciągle za mało: dziękuję wam z głębi serca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez kilka minut wszyscy krzatali się wokół Beth i Daniela. W końcu rozległ się dziwnie zmieniony głos Tristana:

- Zostawiamy was samych, żebyście mogli lepiej się poznać.

Nim ruszył do drzwi, Beth dostrzegła ogromną tęsknotę w jego oczach, a gdy spojrzała na Daniela, pojęła tę bezgraniczną rozpacz, jaka trawiła Tristana.

Przez kolejne dwie godziny przemawiała do Daniela, śpiewała mu piosenki, szeptała słodkie słówka. Zmieniła mu pieluszkę, nakarmiła go i ukołysała do snu. Nie miała najmniejszej ochoty kłaść go do łóżeczka.

- Rozpieszczasz go - tonem doświadczonej babci stwierdziła Margaret, która doglądała noworodków. - Nie przyzwyczajaj dziecka do noszenia na rękach, bo wychowasz małego tyrana - dodała, lecz jej pomarszczona twarz wygładziła się w uśmiechu. - Ale jemu to się należy, bo przyszedł na świat w szczególnych okolicznościach.

- Też tak uważam - odparła Beth.

Poczuła nagle, że jest głodna. Zerknąwszy na zegarek, zorientowała się, że już minęło południe. Mimo że chętnie spędziłaby z Danielem resztę dnia, wiedziała, że czeka ją sporo prac domowych. Zamierzała wszystko zrobić, korzystając z wolnego weekendu.

Kładła go do łóżeczka jak największy skarb.

Potem przebrała się pospiesznie i wyszła ze szpitala. Na dworze z przyjemnością wdychała świeże powietrze przesycone zapachem dymu z kominka w którymś z pobliskich domów. Przez ostatnie dni poruszała się prawie wyłącznie wśród woni chorób i środków dezynfekujących.

Raźnym krokiem ruszyła do domu. Może w skrzynce na listy znajdzie zawiadomienie o odszkodowaniu za samochód? Bardzo na nie liczyła.

Samochód będzie jej potrzebny już w przyszłym tygodniu, ponieważ zgodziła się zastąpić jedną z pielęgniarek, która zbierała dane medyczne w firmie ubezpieczeniowej. To nieskomplikowane zajęcie zajmie jej tylko kilka godzin dziennie. Peszyło ją trochę przeświadczenie, że tak prosta praca przysporzy jej tyle pieniędzy, ale przecież nie mogła przegapić takiej okazji.

Gdy usłyszała odgłos klaksonu, odwróciła się i ku swojemu zdziwieniu ujrzała czarne bmw Tristana.

- Podwieźć panią?

- Serdeczne dzięki. - Uśmiechnęła się radośnie. - Wraca pan do domu? - zagadnęła.

- Właśnie skończyłem wizyty domowe. Kiedy panią zobaczyłem, pomyślałem, że moglibyśmy razem zjeść lunch. - W jego głosie zadźwięczała nuta nadziei.

Zamierzała odmówić, ale w porę przypomniała sobie, ile ten człowiek zrobił dla niej i dla Daniela. Nie chcąc uszczuplać swoich skromnych finansów, odważyła się zaproponować inne rozwiązanie.

- Mam inny pomysł. Zapraszam na moją lasagne, która już jest w piekarniku.

- Przyjmuję zaproszenie.

Uśmiechnął się promiennie. Jeżeli będzie robił to częściej, pomyślała, jej serce wkrótce przestanie się bronić. Co, wzięwszy pod uwagę jej niepewną sytuację materialną i jego dostatek, nie wróżyłoby niczego dobrego.

Parkując przed jej domem, uważnie mu się przyjrzał, wspominając ten jedyny raz, kiedy znalazł się w jego wnętrzu.

- W dzień wydaje się większy - stwierdził.

- Możliwe - odparła speszona.

Gdy otworzyła drzwi, przywitał ich aromat czosnku i oregano.

- Pięknie pachnie - zauważył, zdejmując kurtkę. Kiedy ją wieszał, Beth nie mogła nie zauważyć wysportowanych ramion pod koszulką z krótkimi rękawami.

Jak to dobrze, że na co dzień widuję go w szpitalnych fartuchach, pomyślała. Mało która kobieta potrafi zignorować taki widok.

- Zrobię sałatę i lunch będzie gotowy - oznajmiła, podciągając rękawy kremowego swetra. - Proszę wejść do salonu. Zaraz tam przyjdę. - Nie czekając na odpowiedź, umknęła do kuchni.

Znowu odezwało się to nurtujące ją pytanie: dlaczego? Dlaczego on tu się znalazł?

Wyjęła z lodówki sałatę, pomidora i ogórek. Jak to dobrze, że ostatnio tak zaszalała, zazwyczaj bowiem wystarczała jej sama sałata.

Odwróciła się i omal na niego nie wpadła.

- Pomyślałem, że mogę się przydać - powiedział, przytrzymując ją. - Znam się na sałatach. - Uniósł dłonie gestem chirurga, szykującego się do zabiegu. - Sukces zależy od metody.

Widok jego palców wywołał wspomnienie tamtego wieczoru, kiedy to gładziły jej policzek. Przeszedł ją niespodziewanie silny dreszcz.

- Oczywiście.

Mył ręce, ona tymczasem położyła warzywa na blacie. Obok postawiła szklaną salaterkę z wyszczerbionym brzegiem, którą kupiła na targu staroci. Wizja podejmowania Tristana Lockwooda na obtłuczony zastawie sprawiła, że Beth przez chwilę żałowała swego pochopnego zaproszenia. Dobrze że chociaż talerze są z tego samego kompletu.

Bezwiednie zaczęła się tłumaczyć:

- Obawiam się, że to będzie skromny posiłek. Nie to, do czego pan przywykł...

Poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Przestań - powiedział. - Wszystko mi się podoba. Poza tym najważniejsze jest towarzystwo. I mów mi po imieniu. - Nieco przestraszona, uśmiechnęła się blado. - Co mam robić? - zapytał.

Wy tłumacz mi, skąd ta zmiana, powiedziała w myślach.

- Sałatę - powiedziała na głos.

- Proszę bardzo.

Zaczął skubać zielone liście na niewielkie kawałki. Układając nakrycia, znowu zastanawiała się nad odpowiedzią na tamto pytanie.

- Zapewne zastanawiasz się, co tu robię - rzucił od niechcena.

Zastygła w bezruchu. Nie będzie udawała, że jej to nie interesuje.

- Tak. To prawda.

Wrzucił ostatni kawałek sałaty do salaterki i sięgnął po ogórka.

- Powinienem cię przeprosić.

- Za co?

- Na samym początku uprzedziłem się do ciebie i w konsekwencji byłem niesprawiedliwy w ocenach.

- Co sprawiło, że zmienił pan... zmieniłeś zdanie?

- Różne sprawy. Toby, Daniel, opinia lekarzy...

- Rozmawiałeś o mnie z innymi? - zapytała przerażona.

- Tylko z doktorem Sullivanem. I to bardzo ogólnie - wyjaśnił. -

Chciałem poznać jego zdanie, ponieważ on częściej miał okazję z tobą pracować. Miałem na względzie dobro moich pacjentów.

Nie wiedziała, czy należy to zainteresowanie potraktować jako komplement, czy raczej jako coś, co jej uwłacza. Przypomniała sobie sytuacje z czasów dzieciństwa, gdy różne dziewczynki bawiły się z nią

tylko po to, by znaleźć sobie nowy temat do plotek. Z przyzwyczajenia zachowała kamienną twarz, czuła jednak, że drżą jej dłonie.

- Nie sprawdzałem cię - pospieszył z wyjaśnieniem, jakby wyczuwając jej niezadowolenie. - Źle cię oceniłem i staram się to naprawić. Oczyszczyć atmosferę, powiedzmy.

Zmiana w jego zachowaniu nareszcie stała się dla niej zrozumiała.

- To nie było konieczne - rzuciła.

- Było.

Jego postawa zasługuje na uznanie. Mało kto, zauważywszy, że popełnił błąd tego rodzaju, przyznałby się do tego. Poczuli się nieco lepiej.

- Nie chcę, żeby dzieliły nas jakieś nieporozumienia - dodał. - Wiem z doświadczenia, jak takie sytuacje psują nastrój w zespole.

W tej samej chwili zgasły jej nadzieje, że w grę wchodzi pobudki bardziej osobistej natury. Zajęła się nakrywaniem do stołu.

- Jakie problemy masz na myśli? Powinniśmy zapomnieć o nieporozumieniach. Dla dobra pacjentów.

- Właśnie o tym mówię. - Chwycił ją za łokieć. - Tego nie da się zapomnieć. To trzeba najpierw wyjaśnić, a dopiero potem zapominać. - Zniżył głos. - Na dobrze pracujący zespół składają się ludzie, którzy odpoczywają razem, którzy są przyjaciółmi. Zależy mi na tym, nie tylko dlatego, że nie potrzebujemy dodatkowych stresów, ale i przez wzgląd na pacjentów.

- Słusznie. Co było, minęło. Przyjmuję przeprosiny.

Platoniczna przyjaźń na pewno jest lepszym wyjściem z sytuacji niż milcząca wojna, jaką prowadzili przez cały miniony rok. I chociaż jej marzenia legły w gruzach, pocieszała się tym, że umiejętności nareszcie zostały docenione.

Tristan uśmiechnął się i westchnął z ulgą.

- Obawiam się, że od czasu do czasu coś mi wypadnie z rąk - ostrzegła go. - Zdarza mi się to, kiedy się zdenerwuję.

- Muszę zatem tak postępować, żeby nie wytrącić cię z równowagi - oznajmił, po czym z przyjemnością wciągnął w płuca kuchenne aromaty. - Czy możemy uznać poważne sprawy za załatwione i przystąpić do jedzenia?

- Oczywiście. Jeszcze tylko mrożona herbata. - Obserwowała, jak napełnia szklanki. - Widzę, że w kuchni czujesz się całkiem dobrze.

- To tylko instynkt samozachowawczy - odparł z uśmiechem. - Po śmierci Elise wróciłem do studenckich potraw. Jedzenie w mieście, w samotności, szybko się nudzi.

Miała na imię Elise. Po raz pierwszy wymówił imię żony.

Wyobraziła sobie wysoką, piękną kobietę, która nosiła je z godnością.

Wyjęła lasagne z piekarnika i nałożyła Tristanowi solidną porcję. Udawała sama przed sobą, że potrawa wygląda równie pożywnie i apetycznie jak na opakowaniu, mimo że stać ją było jedynie na połowę składników.

- Wspaniale - powiedział, skosztowawszy kawałek.

- Co cię skłoniło do zmodernizowania oddziału noworodków? - Zmieniła temat.

Spochmurniał.

- Jak już wiesz, moja żona zmarła cztery lata temu. Była w szóstym miesiącu ciąży. Postanowiła odwiedzić swoją babkę w Seattle, ale nie chciała lecieć samolotem. Uważała, że pociąg jest bezpieczniejszy, mimo że podróż trwa wtedy znacznie dłużej. - Odetchnął głęboko. - Z niewiadomych przyczyn w połowie drogi pociąg wypadł z torów. Kilka osób, w tym moja żona, odniosło poważne obrażenia. Tak się niestety złożyło, że szpital w najbliższej miejscowości, z powodu braku wyposażenia, przyjmował jedynie lżejsze przypadki. Krótko mówiąc, Elise i nasz syn zmarli, zanim dotarł do nich helikopter. Nie chciałem, żeby podobna sytuacja powtórzyła się w naszej okolicy.

Odsunęła od siebie myśl, czym zakończyłby się wypadek Ellen, gdyby nie decyzja Tristana. Przykryła jego dłoń swoją.

- Ellen i Daniel poruszyli twoje wspomnienia.

- Poczułem, że jestem w podobnie dramatycznej sytuacji, ale tym razem zobaczyłem ją z innej perspektywy. Mamy szczęście, że Daniel jest silny. Mógłby nie przeżyć tamtej nocy, kiedy rozszalała się zamieć. - Urwał na chwilę. - Wszyscy pacjenci są dla mnie tak samo ważni, ale chociaż staram się nie angażować emocjonalnie, Daniel jest mi szczególnie bliski.

- To prawda, ja też czasem nie potrafię się zdobyć na bezstronność.

Kto interesuje go bardziej: ona czy Daniel? Odsunęła od siebie to nieprzyjemne pytanie.

- Potrzebujesz czegoś dla niego? - zapytał. - Niedługo tu się wprowadzi.

- Ellen przezornie zadbała o wszystko. Zostało mi jeszcze tylko złożenie łóżeczka. Muszę najpierw skompletować narzędzia.

- Mógłbym to zrobić. Wożę ze sobą różne rzeczy, a w domu mam sporą skrzynkę z narzędziami.

- Garażowy majsterkowicz?

- I tak, i nie. W dzieciństwie pomagałem tacie przy różnych pracach stolarskich, ale studia położyły temu kres. Kiedy otworzyłem praktykę, ojciec radził mi, żebym wrócił do tego zajęcia - jako antidotum na stres. Zacząłem nawet coś robić dla Elise i małego, ale... mi przeszło.

Nie musiał jej tego tłumaczyć. Aby rozładować atmosferę, nawiązała do jego propozycji:

- Dziękuję. Mogłabym mieć trudności z dopasowaniem części A do otworu B. W odróżnieniu od Kirsten i Naomi zupełnie nie mam zmysłu technicznego.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Znasz już wszystkie moje tajemnice. Podziel się ze mną swoimi. Jak trafiłaś do domu dziecka?

- Ojciec był wojskowym. Zginał w wypadku na poligonie, kiedy byłam niemowlęciem. Mama z kolei miała kłopoty ze zdrowiem i umarła na zapalenie płuc, kiedy miałam zaledwie siedem lat.

- Co dalej?

- Mieszkałam u siostry ojca, dopóki narzeczony nie postawił jej ultimatum: on albo ja. Miałam dziesięć lat, kiedy oddała mnie rodzinie zastępczej, a trzynaście, kiedy wylądowałam w domu dziecka.

Widząc jego niepokój, postanowiła nie wdawać się w szczegóły. Nie życzy sobie jego litości.

- Moja grupa była wspaniała, a opiekunowie bardzo dobrzy. Trzymali nas w ryzach. Wiele im zawdzięczam.

- A ciotka?

- Straciłam z nią kontakt. - Wzruszyła ramionami i, aby odsunąć od siebie ponure wspomnienia, pospiesznie zmieniła temat. - Pora na deser.

- Nie zmieszczę. Może później.

Po jedzeniu poszedł obejrzeć łóżeczko, a Beth sprzątnęła ze stołu i zrobiła porządek w kuchni.

- Pojadę do domu po elektryczny śrubokręt. Nareszcie będę miał okazję wypróbować gwiazdkowy prezent od ojca. - Jego zapal przygasił odgłos pagera. - Gdzie jest telefon?

Wrócił po chwili. Przepraszający uśmiech błakający się na jego wargach zwiastował złe wiadomości.

- Muszę zajrzeć do szpitala. Podejrzenie zapalenia wyrostka. Później zajmujemy się składaniem łóżeczka.

Wymuszonym uśmiechem pokryła rozczarowanie i pewną dozę powątpiewania w jego powrót. Mimo że wydawał się człowiekiem słownym, nie znała go lub nie ufała mu na tyle, by przyjąć jego obietnicę bez zastrzeżeń. Poza tym miała przecież do czynienia z wziętym pediatrą. Ktoś taki nie ma głowy do przyziemnych spraw.

- Nie szkodzi. Innym razem.

- Zrobię to - obiecał, patrząc jej prosto w oczy. - Wrócę.

- Będę czekać - odparła.

Nim zdążyła się zorientować, ujął jej twarz w dłonie. Łagodnym gestem gładził brzeg czerwonego znamienia. Chciała się odsunąć, lecz on tylko pokręcił głową.

Wpatrywała się w jego usta. Czując, co nastąpi, rozchyliła wargi. Gdy zaczął ją całować, zamknęła oczy. Całował ją coraz goręcej. Delikatnie muskał palcami jej kark, a ona czuła tylko szybkie bicie własnego serca i dreszcz rozkoszy. Ich wargi powoli oddalały się od siebie, aż na jej ustach pozostało jedynie samo wspomnienie tego zbliżenia.

- Wrócę, Bethany - szepnął, nie wypuszczając jej z ramion. - Wierzysz mi, prawda?

Pokiwała tylko głową, ponieważ słowa uwięzły jej w gardle. Gdy wyszedł, zaczęła się zastanawiać, jak mężczyzna, który w ten sposób całuje, aby zapewnić sobie poprawne kontakty służbowe, całuje kobietę, którą kocha.

Warkot wysłużonej maszyny do szycia, nabytku z drugiej ręki poczynionego jeszcze w szkole, ucichł. Beth wprawnym ruchem ucięła nitkę i wyjęła spod stopki gotowe śpioszki. Przyjrzała się im uważnie. Danielowi będzie w nich do twarzy. I jeszcze ta czerwono-niebieska aplikacja...

Usłyszała pukanie do drzwi. Zerknęła na kuchenny zegar, zdziwiona wcześniejszym niż zapowiadane przybyciem Tristana.

Ucieszyła się. Wyszedł stąd prawie dwadzieścia cztery godziny temu. Z przyjemnością spędzi z nim to niedzielne popołudnie. Większą radość sprawiłoby jej jedynie towarzystwo Daniela.

Energicznym gestem otworzyła drzwi, ale ku jej zdumieniu ujrzała kogoś innego. Ukrywając rozczarowanie, szerokim uśmiechem powitała gościa.

- Cześć, Katie. Co cię sprowadza? Katie machnęła plastikową torbą.
- Przyjaciele z darami.

Beth posadziła koleżankę na kanapie.

- Nie spodziewałam się - zaczęła. Katie odrzuciła ciężki warkocz na plecy.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Sąsiadka wpadła w szal jesiennych porządków i na dnie szafy znalazła taki materiał. - Wyjęła cztery kawałki białej. - Jej synowie już wyrosli z takich słodkich deseni, więc postanowiła oddać go komuś, komu się przyda. Mówiłaś, że szyjesz, więc pomyślałam, że go zechcesz. Nie musisz brać, jak ci się nic podoba.

Beth gładziła miękką tkaninę w samochodziki, traktory i przeróżne narzędzia.

- Śliczny. Idealny. Katie odetchnęła z ulgą.

- Chętnie sama bym coś dla niego uszyła, ale dopiero się uczę. Obawiam się, że będzie na uniwersytecie, nim zostanę krawcową.

Beth roześmiała się.

- Na pewno nie! Nie jestem specjalistką, ale jak będziesz miała problemy, mogę ci w czymś pomóc.

- Dziękuję. - Katie przyglądała się jej uważnie. - Ładnie ci w tej fryzurze. Powinnaś częściej tak się czesać.

Zaskoczona tym spostrzeżeniem przypomniała sobie krzepiące uwagi przyjaciółek z domu dziecka. Czesła się w kok tylko na specjalne okazje i nie chciała wyjawiać, że dzisiejszy dzień jest inny od pozostałych.

- Dzięki, ale to bardzo niewygodne w pracy. Ostatnimi czasy tylko tam bywam.

- Bardzo ładnie wyglądasz. Słuchaj, podobno na nagłe wypadki przychodzi dwóch nowych lekarzy, a nie jeden.

- Nie żartuj.

- Ankietowani pacjenci byli tak niezadowoleni z organizacji oddziału, że dyrekcja w końcu zgodziła się zatrudnić jednego lekarza więcej. Będzie pracował na pół etatu, a w weekendy będzie przychodził ktoś na zlecenie. Okazało się, że doktor Sullivan odchodzi na emeryturę wcześniej, już w połowie listopada. ...

- Za cztery tygodnie. Kto go zastąpi?

- Doktor Knox. Zgodził się podjąć pracę nieco wcześniej. Miejmy nadzieję, że jest taki miły jak doktor Sullivan. Ten na pół etatu nazywa się Berkley. - Katie zbierała się do wyjścia. - Posiedziałybym jeszcze, ale

muszę lecieć. Jutro zaczynam urlop. Mojemu bratu urodziło się drugie dziecko, więc jadę do nich, żeby porozpieszczać bratanków.

Beth odprowadziła koleżankę do drzwi.

- Baw się dobrze. I jeszcze raz dziękuję.

Znowu została sama, miała jednak nadzieję, że nie potrwa to długo. Pobiegnęła do pokoju Daniela, by dołożyć nowy materiał do pozostałych. Położyła go na stertę tkanin na komodzie i już odchodziła, gdy wszystko spadło na podłogę. Usłyszała głośny trzask. Z bólem serca patrzyła, jak na ziemię wysypuje się zawartość kasetki z biżuterią Ellen.

Przysiadła na łóżku, by poukładać ją z powrotem. Na samym końcu sięgnęła po srebrną bransoletkę z breloczkami. Łączyło się z nią wiele wspomnień.

Oglądała uważnie miniaturki waszyngtońskiego obelisku, maszyny do pisania, którą Ellen dostała od nauczycielki stenotypii za rekordową szybkość, rakietę tenisową otrzymaną za wejście do szkolnej drużyny. I na koniec złoty kluczyk.

Czy to jest kluczyk do pudełka z pamiątkami? Nie namyślając się wiele, wyjęła pudełko z szuflady. Kluczyk pasował. Otworzyła zamek, ale ociągała się z podniesieniem wieczka. Ciekawość walczyła w niej z ostrożnością. A jeżeli jest tam coś, co dotyczy Daniela?

Wzięła głęboki oddech i otworzyła pudełko. Uderzył ją zapach róż. Ostrożnie wyjęła suchy bukietek leżący na pliku listów. Pod nimi znalazła dwie srebrne monety z początku wieku.

Korespondencja z agencjami ubezpieczeniowymi, akt urodzenia Ellen, akty zgonu jej rodziców, dyplom. Na samym końcu trzy listy w białych kopertach, zaadresowane tym samym, męskim charakterem pisma. Nigdzie śladu nadawcy.

Nie zaglądając do środka, domyśliła się, kto jest ich autorem. Ojciec Daniela.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zamknęła pudełko. Z mieszanymi uczuciami chowała je na dno szuflady i układała bransoletkę w kasetce.

Nie lubiła pytań bez odpowiedzi. Z jednej strony pozornie cieszyła się, że wkrótce tajemniczy kochanek Ellen przestanie być anonimowy, z drugiej jednak serce ścisnęło się jej z bólu na myśl, że ten człowiek ma większe niż ona prawo do opieki nad Danielem.

Jeżeli Ellen go kochała, o czym Beth była święcie przekonana, to mogło ich rozdzielić tylko coś nieodwracalnego. Nie brała pod uwagę przedwczesnej śmierci ojca Daniela. Nie, ten człowiek żyje, i dlatego Ellen nie wspomniała o nim nawet najbliższym przyjaciółkom.

Jeżeli jednak okazał się łajdakiem, od którego Ellen uciekła, lepiej nie zaprzętać sobie nim głowy.

Przez dłuższą chwilę spoglądała na białe koperty. Co robić? Zaryzykować i poznać tożsamość ojca Daniela czy zniszczyć te listy, nie przeczytane, i udawać, że ich w ogóle nie było? Jedno jest pewne: cokolwiek postanowi, będzie musiała żyć z tą świadomością do końca swych dni.

Niechętnie wyjęła pojedynczą kartkę papieru. Nie czytając listu, od razu spojrziała tam, gdzie powinien znaleźć się podpis jego autora.

Tylko inicjały: J.D.

Pozostałe dwa listy były podpisane w ten sam sposób.

Ułożyła kartki w porządku chronologicznym i zaczęła czytać. Z końcem ostatniego listu miała już obraz tego, co łączyło tę nieszczęśliwą parę. Pomogła jej w tym własna wiedza na temat poczynań przyjaciółki.

Ellen poznała J.D. podczas seminarium archiwistycznego w Chicago. Po jej powrocie do Kansas City romans na odległość trwał, lecz sądząc z listów, J.D. nie był z tej sytuacji zadowolony. Całkiem wyraźnie miał bardzo poważne zamiary, bo z jego listu wynikało, że zamierza Ellen przedstawić rodzinie.

Przerwała lekturę pod naporem nowych pytań, które tłoczyły się jej na myśl. Pół roku temu J.D. mieszkał w Chicago i prawdopodobnie nadal tam przebywa. Okazał się człowiekiem otwartym, w równej mierze co Ellen interesującym się zagadnieniami medycznymi. Zapewne farmaceuta, pomyślała, czytając wyjaśnienia na temat działania tobramycyny. Na pewno nie był lekarzem: miał zbyt czytelne pismo.

W zamyśleniu składała kartki. Z ogromną ulgą pomyślała sobie, że ten mężczyzna nadal pozostaje anonimowy. Nie odbierze jej Daniela.

Energiczne łomotanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. Domyślając się, że to Tristan, pospiesznie ukryła listy w szufladzie. Poprawiając kosmyk włosów, który wysunął się z koka, z bijącym sercem ruszyła do drzwi.

Po drodze jednak zastanowiła się. Jednostronne zaangażowanie nie wróży niczego dobrego; nie poradzi sobie z drugą tragedią. Tristan proponuje jej przyjaźń tylko dlatego, że chce ułożyć sobie stosunki w pracy. Nie wolno jej o tym zapominać.

Stojąc przed jej drzwiami z czerwoną skrzynką z narzędziami, zmagał się z ogarniającym go niepokojem. Znalazł się tu tylko po to, by zapewnić zespołowi prawidłowe funkcjonowanie, wykorzystując do tego celu Daniela oraz wspólne im obojgu doświadczenie straty bliskiej osoby. To, co pcha go ku Bethany, to jedynie fizyczna reakcja wywołana współczuciem. Powinien o tym pamiętać.

Jednak wbrew temu, co sobie postanowił, na jej widok poczuł, że nie potrafi nie uśmiechnąć się radośnie.

- Gotowy do pracy - zauważyła na powitanie.

- Jasne. Prowadź. - Zaciągnął się aromatem dobiegającym z kuchni. - Ale pachnie...

- Tarta z bananami i orzechami. Na potem.

- Uwielbiam. Prawdę mówiąc, lubię wszystkie domowe wypieki. Umieję gotować, ale pieczenie ciast mi nie wychodzi. Gdyby nie siostra i matka, byłbym skazany na supermarkety.

- Czy to jakaś aluzja? - zapyłała rozbawiona.

- Mam szanse?

- Może. - Przeszli do pokoju Daniela. - Tu jest instrukcja. Czytając, kątem oka podziwiał jej fryzurę, która łagodziła jej rysy i nadawała twarzy bardziej beztronski wyraz.

Ile osób w szpitalu zauważyło jej wyjątkową urodę? To prawdziwy „nie oszlifowany diament”, pomyślał. Mogłaby mieć tłumy adoratorów. To dobrze, że znalazła się na trochę odizolowanym oddziale pediatrycznym.

Zerknął na jej szyję. Znowu zasłoniła ją wysokim kołnierzykiem. Czy kiedykolwiek widział ją z odsłoniętą szyją? Nigdy. To przez to znamię. Na myśl o bezmyślnym okrucieństwie ludzi poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Chętnie przemówiłby do słuchu tym, którzy wyrobili w niej nieśmiałość.

- Czegoś brakuje? - zapytała nagle. Oprzytomniał.

- Nie. Zamyśliłem się.

- Co z tym zapaleniem wyrostka?

- Dziewczynka uskarżała się na bóle brzucha i mdłości, ale bez wymiotów. Morfologia była w normie, więc zatrzymaliśmy ją na obserwację.

- USG niczego nie wykazało?

- Nic konkretnego. Po kilku godzinach chirurg odesłał ją do domu. Może wróci. - Wzruszył ramionami. - Podaj mi kombinerki. W górnej przegródce.

- O to ci chodzi?

Dokręcił śrubę mocującą dno łóżeczka do ramy. Cały czas czuł zapach wody kwiatowej Bethany, która klęczała obok niego.

- Sprawnie ci to idzie - zauważyła.

- Udało mi się w życiu złożyć parę rzeczy. Ostatnio skręcałem łóżeczko dla naszego dziecka.

Wtedy też miał pomocnika: Elise.

Słyszając jej westchnienie, zerknął na nią. Zaczerwieniła się. Na pewno żałuje, że zgodziła się przyjąć jego pomoc. Boi się, że obudziła w nim jakieś wspomnienia. Owszem, ale raczej te przyjemne.

- Nie przejmuj się - rzekł półgłosem. - Skąd mogłaś wiedzieć?

Patrzyła mu prosto w oczy, a wyczytawszy w nich, że mówi szczerze, uśmiechnęła się łagodnie.

Poczuł nieodparte pragnienie, by palcami dotknąć jej warg, lecz jedynie musnął je wzrokiem.

Rzeczywistość ściągnęła go na ziemię. Ma przecież zacieśniać więzi koleżeńskie, a nie damsko-męskie.

- Teraz drugi bok.

Przez kilka minut był pochłonięty wkręcaniem śrub. Milczenie przerywały tylko jego krótkie polecenia. W końcu wyprostował się, by podziwiać swe dzieło.

- Może być. - Oparł się o łóżeczko. - Można skakać, ile dusza zapragnie. Wszystko wytrzyma.

Beth wsunęła za ucho kosmyk włosów.

- Dziękuję. Sama bym tego nie zrobiła. Rozejrzał się po pokoju.

- Mam chodziki i huśtawkę. Mogę mu je dać. Moi siostrzeńcy już z nich wyrosli.

- Jeszcze mogą ci się przydać.

- Wątpię.
- Możesz się powtórnie ożenić.

Pochylił się, by ułożyć narzędzia w skrzynce.

- To był szczególny związek. Nie potrafiłbym tak samo kochać innej kobiety. Pochowałem już żonę i dziecko. Drugi raz nie zaryzykuję.

Zapadła grobowa cisza. W końcu przerwała ją Beth:

- Dziękuję bardzo za tę propozycję, ale jak widzisz, nie mam miejsca.
- Zastanów się.
- Dam znać. - Uśmiechnęła się. - Chce mi się pić. A tobie?
- Bałem się, że nigdy o to nie zapytasz.

Jedząc ciasto i pijąc nie słodzoną, mrożoną herbatę, zastanawiał się, jak przekazać Beth ostatnie wiadomości na temat Daniela. Przewidując jej reakcję, rozważał możliwość odłożenia tego na ostatnią chwilę. Nie mógł jednak postąpić w ten sposób, ponieważ nigdy by mu tego nie wybaczyła. Nie wiadomo dlaczego nie chciał mieć w niej wroga.

Nie, musi zapoznać ją z faktami, dając jej parę dni na oswojenie się z nimi.

Otarł usta lnianą serwetką i usadowił się wygodniej na kanapie.

- Jestem bardzo zadowolony z postępów Daniela - zaczął.
- Radzi sobie wspaniale.
- Przyznaję. Niedługo będzie mógł opuścić szpital. - Obserwował ją uważnie.

- Naprawdę? Kiedy?
- Za kilka dni. W środę albo w czwartek.

Jej radość ustąpiła przerażeniu, Beth uprzytomniła sobie bowiem kolejność wydarzeń.

- Ale sprawa ma odbyć się dopiero za dziesięć dni.
- Wiem.
- Jak to? - Zerwała się na równe nogi. - Skąd?
- Zanim tu przyszedłem, rozmawiałem z Edith White. Musiałem. Z prawnego punktu widzenia Daniel jest pod kuratelą sądu.
- Wiem o tym. Edith nie pozwoli oddać mi go wcześniej? Zaproponował takie rozwiązanie, ale przedstawicielka opieki społecznej je odrzuciła.
- Nie.
- Zamierza oddać go do rodziny pełniącej rolę pogotowia opiekuńczego?

Był wstrząśnięty, widząc rozpacz malującą się na twarzy Bethany. Niestety, Edith była osobą wyjątkowo stanowczą. Aby oszczędzić Bethany bólu, postanowił nie drażnić tematu.

- Obawiam się, że taka będzie jej decyzja.

- Nie możesz nic zrobić? Opóźnić wypisania Daniela ze szpitala?

- Jeżeli jego stan będzie się poprawiał w takim samym tempie, będę miał trudności z zatrzymaniem go do czwartku. Towarzystwa ubezpieczeniowe sprawdzają zasadność hospitalizacji. Nie mogę go trzymać bez konkretnej przyczyny.

Przyjęła to gorzej, niż się spodziewał. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Gdy oparł brodę na jej głowie, poczuł zapach jej szamponu.

- Pani White obiecała przedstawić ci tych ludzi. - Czuł, że obejmuje zupełnie sztywne ciało. - Będiesz mogła codziennie go odwiedzać. Znając twoje zaangażowanie, Edith szuka dla Daniela jak najlepszych opiekunów.

- Nie wątpię.

- Para, którą sobie upatrzyła, już opiekowała się niemowlętami z różnymi schorzeniami. Ze zwłóknieniem torbielowatym, z rozszczepem podniebienia, trzecie...

- Niewielka pociecha. Zaniepokoiła go obojętność w jej głosie.

- To tylko kilka dni. Nic mu nie będzie.

- Możesz przysiąc? - Uniosła głowę. - Możesz mi przysiąc, że nic, absolutnie nic, mu się nie stanie?

- Chciałbym, ale nie mogę. Tak jak nie mogę przysiąc, że tobie nic się nie stanie.

- Mogłaby ominąć jakieś przepisy.

- Jedni to robią, inni nie. Edith White należy do tych drugich.

- Upajają się władzą - skomentowała cynicznie.

Mimo że zgadzał się z taką charakterystyką Edith, domyślał się, że miała na myśli instytucję opieki społecznej.

- Jedni tak, inni nie. Nagle przyłgnęła do niego.

- Daniel jest mój - szlochała. - Tylko mój. Nie może pójść w ręce ludzi, którzy go nie kochają.

- Będiesz go miała - pocieszał ją. Jak straszne musiała mieć przejścia w dzieciństwie, by po tylu latach tak gwałtownie zareagować na taką sytuację. - Cierpliwości.

Łzy spływały jej ciurkiem po policzkach. Zaczął gładzić jej włosy. Co więcej może zrobić, by ją pocieszyć? Jakiś czas potem zapłakana Beth odsunęła się od niego.

- W twojej obecności zamieniam się w fontannę łez - zauważyła, ocierając twarz.

- Nie szkodzi. - Ujął ją pod brodę. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie bardzo. Chociaż chyba powinnam.

Usiedli obok siebie na kanapie. Splotła dłonie na kolanach.

- Byłam w rodzinie zastępczej, zanim wylądowałam w domu dziecka, gdzie poznałam Ellen. Ci ludzie byli upoważnieni do opieki nad piątką dzieci. Mieli dwóch chłopców w wieku pięciu i siedmiu lat, roczne niemowlę oraz mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego zgodzili się akurat na piątkę. Wbijali nam do głowy, że jesteśmy dla nich strasznym ciężarem. Któregoś dnia policja przyprowadziła do nich upośledzonego umysłowo dwunastolatka, ponieważ nie miał gdzie się podziać. Następnego dnia miała zgłosić się po niego inna rodzina zastępcza.

Przed ich przyjazdem nasza opiekunka wyszła po papierosy, i wtedy Henry zniknął w pokoju dzieciennym. Myślę, że chciał się pobawić z Charliem i nie rozumiał, dlaczego dziecko się nie budzi. Rzucił nim o ścianę. To było straszne. - Zacisnęła pięści.

- Próbowałam go powstrzymać, ale był ode mnie silniejszy. Wiem, że nie zrobił tego z premedytacją. - Potrząsnęła głową.

- Ta kobieta nie powinna była zostawiać nas samych.

- To prawda.

- Zabrano nas od niej jeszcze tego samego dnia. ~ Mówiła teraz podniesionym głosem. - Daniel nie zasłużył na taki dom. Nie szkodzi, że to tylko kilka godzin. To i tak za długo.

Nie mógł pozostać obojętny.

- Nie wiem, czy to coś da, ale rozmawiam z panią White.

- Naprawdę? - Jej oczy zaśniły. Ujął jej dłoń.

- Nie obiecuję, że się uda, ale zrobię, co w mojej mocy.

Poprawiając pasek od spodni, zerknęła do lustra. Nawet sama przed sobą musiała przyznać, że wygląda bardzo mizernie. Nałożyła więcej korektora. Odkąd Tristan wspomniął o pogotowiu rodzinnym, mało sypiała, nękana złymi wspomnieniami z dzieciństwa.

Oto nadszedł krytyczny dzień. Bała się go od niedzieli. Daniel idzie do ludzi z pogotowia opiekuńczego.

Kończył się pracowity tydzień. Rano spisywanie danych medycznych w towarzystwie ubezpieczeniowym, potem biegiem do domu, żeby się przebrać, i na oddział noworodków, gdzie przed rozpoczęciem dyżuru zajmowała się Danielem. Wracając do domu dopiero co kupionym, używanym pontakiem, zasiadała przed telewizorem lub czytała, po czym padała na łóżko. A od rana to samo.

Tego poranka chciała jak najdłużej być z Danielem. Przyszła na oddział w porze rannej kąpieli. Kiedy wkładała go do wanienki, niespodziewanie trysnął do góry strumień cieczy. Rzuciła ręcznik, przykrywając przyrodzenie niemowlaka.

- Danielu! - powiedziała z wyrzutem.

- Trafił cię? - zaśmiał się Tristan, stając tuż obok. - Stuprocentowy chłopczyk. Trzeba mieć refleks, mamusiu.

Mydliła i omywała drobne ciało, delektując się jego delikatnością.

Tristan podał jej ręcznik.

- Niestety, pani White jest niewzruszona.

- Dziękuję za dobre intencje.

Ubrała Daniela w śpioszki kupione jeszcze przez Ellen. Zdecydowanie za duże, ale wkrótce się wypełnią. Na koniec owinęła go w przyniesiony z domu kocyk, ponieważ szpitalne pieluszki i pościel miały zostać na oddziale. Usiadła z dzieckiem na fotelu na biegunach i zaczęła je karmić.

Niemal w tej samej chwili w przedsionku pojawiła się pani White z elegancko ubraną nieznajomą.

- Wydawało mi się, że mają przyjść później - mruknęła Beth.

- Nastąpiła zmiana planów - wyjaśnił Tristan. - Edith zawiadomiła mnie o tym pół godziny temu. Niespodziewanie musi gdzieś wyjechać, więc postanowiła załatwić sprawę Daniela nieco wcześniej.

Beth aż do bólu zagryzła wargi. Miała ochotę uciec z Danielem, by go ukryć gdzieś aż do wtorku.

- Dzień dobry, panno Trahern - pozdrowiła ją Edith. Pochyliła się nad Danielem, który energicznie wymachiwał rączkami. - Jaki silny chłopczyk.

Wyprostowała się, by przedstawić im Karen Johnson.

- Na pewno ma pan jakieś specjalne zalecenia, doktorze.

- Owszem.

Wpatrując się w dziecko, Beth słuchała, jak pediatra mówi o lekach i mnóstwie innych spraw. Pewną ulgę przyniosło jej spostrzeżenie, że Karen słucha go bardzo uważnie.

Mnogość informacji przekazywanych przez Tristana uświadomiła jej, że i on sam jest nieco zaniepokojony tą sytuacją. To znaczy, że ma pewne wątpliwości.

- Gdyby miała pani jakieś pytania, to proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Pani White zerknęła na zegarek.

- Muszę już iść. Zajmie się pani naszym chłopczykiem?

- Oczywiście.

Daniel pracowicie opróżnił butelkę. Kiedy nie zostało w niej ani kropli mieszanki, Beth podniosła go, oparła na ramieniu i masowała mu plecki, dopóki nie czknał. Potem wstała z fotela.

Karen podała jej kartkę.

- Tu jest nasz adres i numer telefonu. W każdej chwili proszę do nas dzwonić albo przyjeżdżać. - Karen położyła jej dłoń na ramieniu. - Mam pod opieką tylko jego, więc nie spuszczę z niego oka.

Beth nie odpowiedziała. Wskazała tylko na torbę z pieluchami.

- To są jego rzeczy. - Podała dziecko Karen. - Bądź grzeczny, Danielu.

Nie wytrzymała i wybiegła z pokoju, potracając wchodzącą Margaret. Ruszyła korytarzem do wyjścia. Tristan dogonił ją, gdy wsiadała do samochodu, i chwycił ją za rękę.

- Jak się czujesz?

- A jak myślisz? Milczał.

- Proszę cię, daj mi jechać do domu. Sama muszę sobie z tym poradzić.

Wpatrywał się w jej twarz. W końcu zwolnił uścisk.

- Zobaczymy się po południu. Staraj się zrelaksować.

W domu usiłowała pójść za jego radą. Bez skutku. Wzięła się do sprzątnięcia. Zrobiła porządek w całym mieszkaniu. Potem niemal na skrzydłach pędziła na dyżur, w nadziei, że obowiązki odwrócą jej uwagę od czarnych myśli. Natychmiast musiała zająć się tą samą jedenastoletnią dziewczynką, która przerwała niedzielną wizytę Tristana.

- Boli - jęknęła Rachel Robins, skulona na łóżku.

Beth podeszła bliżej, skinieniem głowy witając się z rodzicami dziewczynki.

- Coraz bardziej? - zapytała.

Rachel wróciła rano do szpitala i ponownie zatrzymano ją na obserwację. Teraz pokiwała głową i nie otwierając oczu, powiedziała:

- Chce mi się wymiotować.

Rachel podała jej naczynie. Dziewczynka chwyciła je kurczowo, po czym rozmyśliła się. Do pokoju wszedł Tristan.

- Jak się ma moja najładniejsza pacjentka?

- Nie najlepiej - jęknęła Rachel.

- Mogę dotknąć?

Beth ustąpiła mu miejsca. Tristan przystąpił do badania.

- Boli?

- Trochę.

- Kaszlnij i pokaż mi, gdzie najbardziej boli. Dziewczynka posłusznie wykonała polecenie i wskazała typowe miejsce na podbrzuszu.

Zerknął na Beth.

- Mamy morfologię?

- Leukocyty jedenaście tysięcy, neutrofile siedemdziesiąt procent. - Zorientowała się, że wyniki badania krwi potwierdzają jego podejrzenia.

- Chyba tym razem wyjdiesz ze szpitala bez wyrostka - oznajmił. - Nie martw się. To nie potrwa długo.

- To dobrze.

Poprosił rodziców na korytarz.

- Zanim zabierzemy ją na salę, muszą państwo podpisać zgodę na operację. Im szybciej go usuniemy, tym lepiej. Wolałbym nie czekać na perforację.

Beth najpierw telefonicznie zawiadomiła blok operacyjny, a następnie wzięła się do przygotowania dziewczynki do zabiegu.

- Przebierzemy cię w szpitalną koszulę, żeby nie zniszczyć twojej.

Umyła ją, sprawdziła czynności życiowe i podała środek uśmierzający. Wraz z pielęgniarką z bloku operacyjnego przeniosły ją na fotel na kółkach.

- Do zobaczenia po wszystkim.

Zajęła się przygotowaniem łóżka na powrót Rachel, ustawiając w pobliżu stojak do kroplówki i różne sprzęty, które mogą okazać się potrzebne. Chwilę później przyjechał wózek z obiadem.

- Może uda ci się namówić Michaela, żeby coś zjadł - powiedziała Mary. - Dziewczyny z porannego dyżuru mówiły, że rano nic nie wziął do ust.

Jak to zrobić?

- Tak długo jest na wyciągu, że pewno jest mu już nudno. Może powinien obejrzeć jakieś nowe twarze?

- Spróbuj.

Beth poprosiła o pomoc dwóch chłopców z sąsiedniej sali. Otwierając drzwi do pokoju Michaela, zawołała radośnie:

- Przeprowadziłam ci kolegów.

Chłopiec uważnie przypatrywał się, jak John i Cody wjeżdżają na wózkach.

- Co ci się stało? - zapytał jeden z nich.

- Jechałem na rowerze i potracił mnie samochód.

- Miałeś sporo szczęścia. Mogło skończyć się znacznie gorzej - zauważyła. - Cody lubi łowić ryby. Ma staw za domem.

- O! - Gdy pękły pierwsze lody, chłopcy zabrali się do jedzenia, żywo dyskutując o różnych sposobach zbierania robaków.

Uśmiechnęła się, gdy Michael skubnął swoją porcję. Gdy rozmowa przeszła na metody łapania ropuch, jadł, aż mu się uszy trzęsły.

Godzinę później natknęła się na nią przełożona.

- Też powinnaś coś zjeść, bo cię nam wiatr porwie.

Nie chcąc opuszczać oddziału, zrobiła sobie gorącą czekoladę. Jeszcze jej nie zaczęła, gdy Mary z przepaszającym uśmiechem poprosiła ją o pomoc przy nowym pacjencie. Musiała przygotować miejsce dla kolejnego przypadku dyfterytu. W ten sposób liczba dzieci z niewydolnością oddechową na oddziale urosła do sześciu.

Pod sam koniec dyżuru, tuż przed przybyciem kolejnej zmiany, z windy wysiadł doktor Lockwood i dwie pielęgniarki z Rachel Robins.

Przeniosły jeszcze oszołomioną dziewczynkę na łóżko. Beth sprawdziła czynności życiowe. Przez cały czas słyszała, jak Tristan półgłosem rozmawia z rodzicami operowanej. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wyszła. Tristan podszedł do niej na korytarzu.

- Trzymasz się?

Wiedziała, że nie była to aluzja do pracowitego dyżuru.

- Tak.

- Jadłaś?

- Miałam przerwę na kolację.

- Nie o to pytam. Jadłaś coś? Zacerwieniła się.

- Tak podejrzewałem. Nie można pracować z pustym żołądkiem.

- Wiem, ale...

- Musisz o siebie dbać przez wzgląd na Daniela. On nie ma nikogo oprócz ciebie.

Racja. Nie może pozwolić, by zmartwienia odebrały jej zdrowy rozsądek.

- Masz słuszność. Uśmiechnął się.

- Za kilka dni będzie po wszystkim. Zobaczysz. Miejmy nadzieję, pomyślała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do końca życia Beth nie zapomni tego wtorku, dwudziestego października. Stanowczym krokiem przemierzała sądowe korytarze, kurczowo ściskając pasek torby. Radość z powodu rychłego powrotu Daniela sprawiła, że jednocześnie łomotało jej serce i ściskało ją w dołku.

Tristan chwycił ją za łokieć.

- Gdzie się pali?

- Strasznie jestem zdenerwowana - przyznała.

- Mamy mnóstwo czasu. - Patrzył na nią uważnie. - Dobrze wyglądasz. Sypiasz lepiej?

- Lepiej niż się spodziewałam. Odwiedzałam go codziennie. Johnsonowie byli fantastyczni. Troszczyli się o niego jak o własne dziecko. Sprawilo mi to ogromną ulgę.

- A nie mówiłem? - Dotknął palcem jej nosa. - Następnym razem masz posłusznie wykonywać polecenia pana doktora.

- Tak jest.

- Chodź. Widzę Mitcha Adamsa.

Ze zdenerwowania chwyciła go za rękę.

- Dziękuję, że tu przyszedłeś. Mam nadzieję, że nie ucierpią na tym twoi pacjenci.

- Kazałem asystentce przełożyć kilka wizyt. Załatwię je później.

- Witaj, Beth - zawołał Mitch.

Jego stalowoszary garnitur w delikatne prążki idealnie pasował do ciemnych włosów lekko przyprószonych siwizną. Był równie atrakcyjny jak Tristan. Pochlebialo jej, że ma tak przystojnego adwokata.

- Co ty tu robisz, Tris? - Spojrzał na ich złączone dłonie. - Czyżbyś przyszedł, żeby wesprzeć Beth?

- Zgadłeś.

Mitch mrugnął porozumiewawczo i klepnął przyjaciela po ramieniu, po czym zwrócił się do niej:

- Nie rozmyślałaś się?

- Skądże znowu. - Patrzyła mu prosto w oczy.

- Wobec tego, jak tylko przyjdą... - Urwał. - Zdaje się, że już idą.

Ujrzeni panią White, Karen Johnson i sędziego Wintersa. Beth wpatrywała się tylko w nosiłki w ręce Karen.

Sędzia zupełnie nie odpowiadał jej wyobrażeniu o osobach piastujących tę funkcję. Miał zaczesane do tyłu jasne włosy i zaledwie kilka zmarszczek w kącikach oczu. Na pewno liczył mniej niż czterdzieści pięć lat.

- Wszyscy gotowi? - zapytał.

Zawiniątko w nosilkach poruszyło się i zakwiliło. Karen poprawiła kocyk, który zakrył dziecku buzię.

- On najbardziej - oznajmiła. Sędzia roześmiał się.

- Wobec tego nie traćmy czasu.

Zasiedli do dużego, konferencyjnego stołu. Pomimo swobodnej atmosfery Beth nadal czuła ucisk w dołku. Był to jej pierwszy krok do adoptowania Daniela. Mitch nie widział żadnych przeszkód, ale ona wiedziała z doświadczenia, jak błyskawicznie sytuacja potrafi zmienić się na gorsze.

Gdy sędzia przeglądał dokumenty przedstawione przez Edith White, ponownie ujęła dłoń Tristana. Przysunął się bliżej, tak by ramieniem dotykać jej ramienia. Ta bliskość koła jej nerwy.

Ukradkiem zerknęła na jego profil i przez chwilę wyobrażała sobie, że są małżeństwem, a Daniel będzie ich synkiem...

Sędzia Winters podniósł głowę znad papierów.

- Nie widzę przeszkód, aby pani Trahern została tymczasowym opiekunem Daniela McGraw - zaczął.

Odetchnęła z ulgą.

- Pani White może przystąpić do wywiadu domowego, ponieważ, jak rozumiem, pani Trahern wystąpiła o adopcję. Mniemam, że zdaje sobie pani sprawę, że to musi trochę potrwać. Ponadto sąd jest zobowiązany odnaleźć ojca dziecka. Zbyt często zdarzają się odwołania od wyroków sądu. Nie chciałbym, żeby i ta sprawa miała taki koniec.

- Rozumiem.

- Czy wiadomo pani, kto jest ojcem lub gdzie tenże przebywa?

Przypomniała sobie jego listy, lecz informacje w nich zawarte uznała za niegodne wzmianki: Chicago, inicjały J.D. oraz zajęcie związane z medycyną. Na razie nie ma nic do powiedzenia. Naomi i Kirsten obiecały zająć się tropieniem jego śladów w środowisku medycznym.

Słumiła wyrzuty sumienia. Nie oddadzą Daniela człowiekowi, od którego odsunęła się sama Ellen.

Zaczerpnęła powietrza.

- Nie. Przed przeprowadzką do Mercer Ellen mieszkała w Kansas City.

- W takim razie zamieścimy anons w tamtejszym dzienniku - zdecydował sędzia. - Może czegoś się dowiemy.

Nie podzielała opinii sędziego. Skoro Ellen nie rozmawiała na ten temat z najbliższymi przyjaciółkami, na pewno nie dzieliła się swoją tajemnicą z przygodnymi znajomymi.

Sędzia złożył dokumenty i podniósł się z miejsca. Pozostali uczestnicy spotkania poszli w jego ślady. Z szerokim uśmiechem na twarzy podał jej dłoń:

- Moje gratulacje, pani Tranem. Może pani zabrać Daniela do jego domu.

Uściskała jego dłoń.

- Serdecznie dziękuję.

Edith White zatrzasnęła swoją teczkę.

- Będziemy w kontakcie.

Teraz podeszła do niej Karen Johnson z Danielem na ręku.

- To takie dobre dziecko, że aż żal mi się z nim rozstawać. - Była wyraźnie wzruszona. - Niezależnie od tego, jak długo są u nas, zawsze płaczę, gdy przychodzi pora rozstania. - Podała jej Daniela.

- Życzę wam dużo szczęścia - powiedziała Beth, czując ogromną sympatię do tej kobiety.

Położyła go sobie na rękę, by lepiej mu się przyjrzeć. Popatrzył na nią, zamrugał, po czym włożył dwa paluszki do buzi. Poczowała niewysłowioną słodycz wokół serca. Przeniosła spojrzenie na Tristana.

- Dziękuję, że zechciałeś być ze mną w takiej chwili. Uśmiechnął się radośnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

„Piękna rodzina”. Zasiadając w swym gabinecie, Tristan ciągle słyszał słowa, które szepnął mu na ucho Mitch, nim wyszli z sądu. Zdanie to stale do niego powracało. Nawet tu nie dawało mu spokoju.

Dołączył się do tego komentarz Nancy: Jesteś młody, jeszcze możesz założyć drugą rodzinę”.

Lubił dzieci, dlatego przecież wybrał tę specjalizację. Byłoby to całkiem naturalne, gdyby biegały i śmiały się w jego domu. To niemożliwe.

Od kilku lat towarzyszyła mu świadomość, że jego nadzieje i marzenia nieodwracalnie legły w gruzach. On sam robił wszystko, by uniknąć jakiegokolwiek bólu. W tej chwili wcale nie był pewien, czy to, co w nim

jeszcze się tli, może zadowolić kobietę, nie wspominając już o rodzinie. Może jednak spróbuje?

- Jak się czuje nasza nowa mama? - zapytała Mary Peabody, gdy Beth zjawiała się tydzień później na oddziale.

- Dobrze. Nie wiedziałam, że już po tygodniu tak trudno będzie go zostawić z opiekunką. Co będzie za dwa miesiące?

- Serce się kraje, kiedy trzeba się z nimi rozstać - przyznała Mary. - Z czasem robi się jeszcze gorzej. Kiedy moja córeczka miała dwa lata, stała pod drzwiami i prosiła z płaczem, żebym nie wychodziła z domu. Już myślałam, że zrezygnuję z pracy.

- Cieszę się, że przyjęli go do szpitalnego żłobka. Rozmowę przerwał im telefon. Mary chwyciła długopis i notes. Z każdą chwilą jej twarz poważniała coraz bardziej.

- Sześcioletnia dziewczynka, ostry atak astmy. Nie poskutkowały środki podane na oddziale nagłych wypadków. Zajmij się nią, Beth.

Przygotowując osobny pokój, miała nadzieję, że zdołają zahamować atak, zanim stan dziecka się pogorszy i będzie wymagał użycia takich urządzeń jak respirator.

Przypomniała sobie zasady postępowania w takich przypadkach. Konieczne będą leki pierwszej pomocy, być może jakiś antybiotyk. Przygotowała jednorazowe cewniki i podłączyła wąż do zaworu tlenowego w ścianie.

Prawie natychmiast przywieziono chorą, która miała wyraźne kłopoty z oddychaniem. Rodzice Jessiki stanęli przy drzwiach, obserwując, jak Beth i Tristan rozplątują niezliczone rurki łączące ją z aparaturą podtrzymującą życie. W końcu szczuplutka dziewczynka siedziała oparta na poduszkach na szpitalnym łóżku, z cewnikiem z tlenem w nosie.

- Epinefryna i albuterol. Kroplówka z ammorfiliny - mówił Tristan. - Gazometria.

Beth skrupulatnie wypełniała jego polecenia.

- Nie spuścimy jej z oka - zwrócił się do rodziców, którzy ze zmartwienia postarzelili się o dziesięć lat. - Radziłbym pójść do domu, ale wiem, że państwo tego nie zrobią. Może dobrze państwu zrobi przechadzka po szpitalu? Wyjście na świeże powietrze?

- Idź się przejść, a ja tu zostanę, dopóki nie wrócisz - powiedziała pani Thomas.

- Zaopiekujemy się nią - zapewniła ich Beth. - W holu jest automat z kawą - dodała.

- Jessie źle znosi zmiany pogody - oznajmiła matka. - Zawsze odchorowywała takie zmiany jak o tej porze roku, ale jeszcze nigdy nie było aż tak źle. Nienawidzę jesieni. - Głośno wytarła nos. - Wyjdzie z tego, prawda?

Beth setki razy słyszała to pytanie, niestety, nie mogła dać zdecydowanej odpowiedzi.

- Zrobimy wszystko, co się da.

Kilka następnych godzin siedziała przy dziewczynce, czekając, aż zadziałają podane leki. Po jakimś czasie otrzymała wyniki gazometrii. Stan dziewczynki się nie poprawiał.

- Obawiam się, że trzeba będzie podłączyć respirator - zmartwił się Tristan.

Tuż przed jedenastą zauważyła, że pacjentce oddycha się nieco łatwiej. Minęła panią Thomas, która zasnęła w fotelu, i wyszła na korytarz. Postanowiła zawiadomić o tym Tristana, który drzemał na kozetce w pokoju pielęgniarek. Ledwie dotknęła jego ramienia, zerwał się na równe nogi.

- Co z nią?

- Leki zadziałały.

Pierwszy wpadł do pokoju i przez jakiś czas przysłuchiwał się uważnie. Chwilę później uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Masz rację.

Pani Thomas otworzyła oczy.

- Lepiej? - zapytała.

- Najgorsze mamy już za sobą - oznajmił.

- Dzięki Bogu. Zawołam męża. Tristan objął Beth.

- Udało się!

Niespodziewanie dały o sobie znać godziny spędzone w ogromnym napięciu. Pochylił się nad nią i wycisnął na jej wargach gorący pocałunek. Oszołomiona przywarła do niego, nie bacząc na szum tlenu i natrętne brzęczenie dzwonka któregoś z wzywających ją pacjentów. Odsunął się gwałtownie, równie speszony jak ona.

- Pora powtórzyć gazometrię.

Zadzwoiła do laboratorium, zastanawiając się, dlaczego bez jej zgody zmienił reguły gry.

Wyczuwając niepokój Beth, Daniel po powrocie do domu kapryśił przez kilka godzin. Zasnął dopiero o trzeciej nad ranem.

Przez sen ledwie usłyszała sygnał alarmowy monitora. Owijając się kołdrą, rzuciła się do łóżeczka niemowlęcia.

Dziecko leżało bez ruchu. Do tej pory świst monitora budził Daniela i mobilizował go do oddychania. Tym razem jednak tak się nie stało.

Błyskawicznie położyła go na plecy i zaczęła masować klatkę piersiową. Nie zareagował. Rozpięła śpioszki, by podjąć sztuczne oddychanie.

Gdy chwilę później zaczął oddychać, rozplakała się ze szczęścia. Wzięła go na ręce. Czowała, że za nic w świecie nie zostawi go w łóżeczku. Wcześniej o mało co nie stracili Jessiki, a teraz Daniela. Nie uda się jej zasnąć.

Przesiedziała z nim tak aż do świtu. Dopiero wtedy położyła go do łóżeczka, a sama ruszyła wziąć prysznic. Chociaż zachowywał się normalnie, postanowiła go jak najszybciej zawieźć do gabinetu Tristana.

- Co się stało?

- W nocy przestał oddychać.

Tristan zmierzył i zważył Daniela, po czym dokładnie go osłuchał.

- Przybiera na wadze. To dobrze. Zwiększę dawkę kofeiny. Powinno pomóc.

Odetchnęła z ulgą.

- Nie spałaś - zauważył.

- Obiecuję, że to zrobię.

Jednak w ciągu kolejnych kilku dni zorientowała się, że nie jest to wcale takie łatwe. Nie wystarczały jej krótkie drzemki, na jakie sobie pozwalała, gdy Daniel zasypiał, zwłaszcza że budził ją najmniejszy szelest. Zmęczenie nie opuszczało jej ani na chwilę. Pewnego ranka obudziła się z bolącym gardłem i stanem podgorączkowym. Gdy dzwoniła do szpitala, by zawiadomić przełożoną, że jest chora, miała już sporą temperaturę. Zadzwoniła też do Katie, by prosić ją, żeby posiedziała przy Danielu, lecz jej nie zastała.

W końcu położyła się do łóżka Ellen.

Jak przez mgłę słyszała płacz dziecka i męski głos, podobny do głosu Tristana. Nie była w stanie odróżnić snu od jawy. Gdy postanowiła wyjść spod kołdry, ktoś ją powstrzymał. Chwilę później poczuła chłód na czole. Jaka ulga.

- Co cię boli? - zapytał głos.

- Gardło.

Ktoś podniósł ją nieco wyżej i podsunął do warg szklanekę z wodą.

- Wypij.

Oprzytomniała na tyle, by zorientować się, gdzie jest. Nadal jednak nie wiedziała, skąd wziął się tutaj Tristan.

- Co ty tu robisz? - zapytała półprzytomna.

- Potem ci powiem. Znowu spróbowała wstać.

- Muszę... zajrzeć do Daniela.

- Śpi spokojnie. Ty też zaśnij.

Poczuła coś chłodnego na pośladku, a następnie ukłucie. Gdy chciała odepchnąć sprawcę tego nieprzyjemnego odczucia, mocne palce chwyciły jej nadgarstek.

- Już po wszystkim. - Otulił ją starannie kołdrą.

Tajemniczy gość jeszcze kilka razy podawał jej coś do picia. Posłusznie wykonywała jego polecenia i znowu zapadała w sen. Od czasu do czasu docierał do niej kobiecy głos, ale nie miała siły zastanowić się, co ta kobieta robi w jej domu.

Dwadzieścia cztery godziny później ustąpiły dreszcze i temperatura. Beth powoli dochodziła do siebie.

Do pokoju wszedł Tristan z kubkiem gorącej herbaty.

- Jak się czujesz?

- To rzeczywiście byłeś ty. Wydawało mi się, że to sen.

- Całe szczęście, że oprzytomniałaś. Porządnie cię wzięło. Zerknęła na zegarek na nocnym stoliku.

- O Boże, Daniel! - Chciała wstać, ale poczuła, że nie ma siły odrzucić kołdry.

- Daniel ma się wyśmienicie. Je bez przerwy.

- Skąd wiesz, kiedy go się karmi? Dałam mu butelkę, zanim się położyłam.

- To znaczy wczoraj.

- Co takiego?!

- Pozwól, że zacznę od początku. - Przysiadł na łóżku.

- Jak się tu dostałeś?

- Dowiedziałem się, że jesteś chora, więc po dyżurze postanowiłem do ciebie zajrzeć. Nie otwierałaś, kiedy pukałem, więc nacisnąłem kłamkę. Drzwi nie były zamknięte. Daniel darł się wniebogłosy, a ty leżałaś

nieprzytomna. Jego utuliłem, a tobie zrobiłem zastrzyk i zostałem, żeby was pilnować.

Potarła obolały pośladek.

- Byłeś tu przez całą noc? Przytaknął.

- Daniel zgodził się siedzieć cicho, pod warunkiem, że dam mu oglądać telewizję.

- Co takiego?

- Nocny marek.

- Ma to po matce.

- Zapamiętam sobie. Może byś wzięła kąpiel?

- Z przyjemnością. Nie powinieneś wracać do gabinetu?

- Dzisiaj jest sobota - przypomniał jej, pomagając wstać. - Dasz radę sama?

Owinęła się szlafrokiem i niepewnym krokiem podeszła do drzwi.

- Chyba tak.

- Jak usłyszę łoskot, przylecę na ratunek.

- Poradzę sobie.

Po długiej, gorącej kąpieli nareszcie poczuła się jak człowiek. Postanowiła zobaczyć Daniela. Gdy szła przez hol, poczuła interesujący zapach. Czyżby Tristan coś gotował? Ciekawe co? W szafkach i lodówce nie było żadnych zapasów.

Daniel był w swoim pokoju. Ubrany tylko w pieluchę, odpoczywał na ramieniu Tristana, który grzebał w szufladach w poszukiwaniu śpiochów i cały czas do niego przemawiał. Widok ten kazał jej przystanąć w drzwiach. Patrzyła, jak Tristan, walcząc z wierzgającymi nóżkami i rączkami, próbuje ubrać maleństwo.

- Najpierw się ubierzemy, a potem poszukamy czegoś do jedzenia. Co wolisz: krwisty befsztyk czy butelkę?

Daniel czknął.

- Tak myślałem. Befszyk dla szefa, butelka dla jego kumpla. Wolisz flaszkę.

Słuchała tych bzdur, uśmiechając się radośnie. Jaki dobry, troskliwy człowiek. Jaki kochany...

Tak, zakochała się w Tristanie Lockwoodzie.

Od samego początku obawiała się, że mogłaby ulec jego urokowi, gdyby zwrócił na nią uwagę. Teraz, gdy to się stało pod pretekstem zawodowej

integracji, po prostu w nim się zakochała. On natomiast nie ukrywa, że nie potrafi nikogo pokochać.

Odwrócił się w jej stronę i rzekł do Daniela:

- Zobacz, kto przyszedł. Chcesz zobaczyć mamę?

Nie chcąc, by zdradziło ją jej spojrzenie, przeniosła wzrok na dziecko. Tristan nie może się dowiedzieć, co ona do niego czuje. Świadomość tego wprawiałaby go w zakłopotanie, co bez wątpienia źle odbiłoby się na ich stosunkach. W konsekwencji nie pracowałoby się im dobrze, a tego należy unikać za wszelką cenę.

Wyciągnęła ramiona, by wziąć od niego dziecko. Znieruchomiała, gdy mimochodem dotknął jej piersi, po czym z niepokojem spojrzała na Daniela. Co by było, gdyby Tristan nie zjawił się w porę?

- Nie wiem, jak mam ci dziękować...

- Może byś coś zjadła - nie pozwolił jej dokończyć. - Nancy przyniosła rosół z makaronem.

To jej głos słyszała w malignie!

- A befsztyka nie będzie? - zapytała beztróskim tonem.

- Następnym razem.

Przeszli do kuchni, gdzie już czekała na Daniela butelka z mieszanką. Chwilę później przed Beth stanął talerz z rosółem.

Poczuła się dziwnie zaniepokojona tą jakże domową atmosferą, zbyt bliską jej marzeń. Tristan usiadł przy stole.

- Tak się zastanawiałem... - zaczął poważnym tonem, zazwyczaj zwiastującym przykre wiadomości.

- Słucham.

- Jednej osobie trudno zajmować się dzieckiem, zwłaszcza że nie musisz tego robić.

- Nie oddam go.

- Niczego takiego ci nie sugeruję. Zastanawiałem się tylko, jak byś sobie poradziła, gdybym się tu nie zjawił.

- Dzwoniłam do Katie, ale wyjechała - broniła się. - Czuję się już znacznie lepiej, a jutro będę całkiem zdrowa.

- A następnym razem? - Oparł łokcie na stole. - Chcę ci pomóc. Nie tylko w chorobie. Daniel będzie potrzebował mężczyzny...

- O czym ty mówisz?

- Chcę być jego ojcem. Chcę, żebyśmy we troje tworzyli rodzinę.

Zaskoczona aż wyrwała smoczek z buzi Daniela, który głośno zaprotestował.

- Rodzinę? Mąż, żona, dziecko? Przytaknął.

Czyżby jej marzenie miało się spełnić niemal w tej samej chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że kocha Tristana? Bolesne doświadczenia kazały jej wzmóc czujność.

- Dlaczego?

- Dla dobra Daniela.

- Rozumiem. - Jej nadzieje zgasły. - Nie wiem, co myśleć. Nie spodziewałam się takiej propozycji.

- Znamy się już rok - zauważył.

- Ale przez dłuższy czas nie układało się nam najlepiej.

- Być może, ale ostatnie tygodnie dużo zmieniły. Moim zdaniem pasujemy do siebie. Daniel będzie miał należytą opiekę, a my rodzinę, o której oboje marzymy. Wszyscy na tym skorzystamy.

A gdzie jest miejsce na uczucie? Bojąc się o to zapytać, wybrała inne pytanie.

- A jeżeli poznasz kogoś innego, kogoś, kogo pokochasz tak bardzo jak Elise?

- Niemożliwe.

Przypomniała sobie ten namiętny pocałunek w pokoju Jessiki.

- Jak sobie to wyobrażasz?

- Jak prawdziwe małżeństwo. Myślę, że nie będzie z tym problemów, ponieważ nie jesteśmy sobie obojętni. Już przekonaliśmy się o tym.

Na wspomnienie tych chwil zalała ją fala miłego ciepła.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać. Poza tym oczekuję szczerości i wierności.

- Mnie zależy na tym samym - odparła ze ściśniętym gardłem. Gdyby miała odwagę, dodałaby jeszcze jeden warunek: miłość. Ale odwaga nigdy nie była jej silną stroną.

- Pobieramy się? - zapytał.

Gładziła Daniela po główce. Była gotowa zrobić wszystko dla syna Ellen, ale nie przewidziała małżeństwa. Związku z mężczyzną, który jej nie kocha.

Mimo wszystko ten pomysł nie wydał się jej zły. Spotykała się z paroma mężczyznami, ale nigdy nie trwało to długo. Nigdy nie dochodziło do rozmów o małżeństwie.

Zawsze marzyła o związku Kopciuszka z królewiczem z bajki, ale przez myśl jej nie przeszło, że takie marzenie może stać się rzeczywistością.

„Nic nie zdarza się dwa razy”, przypomniała sobie słowa Ellen.

Ogarnął ją spokój. Już wie, co ma zrobić. Dla Daniela i dla siebie.

Wzięła głęboki wdech i patrząc Tristanowi prosto w oczy, powiedziała:

- Wyjdę za ciebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tristan zamrugał gwałtownie powiekami, jakby nie był pewien tego, co usłyszał. Chwilę później uśmiechnął się i odchylił do tyłu z miną człowieka zadowolonego z siebie.

- Rozsądna z ciebie kobieta. Miałem gotowe odpowiedzi na wszystkie twoje kontrargumenty.

Nie podobała się jej ta wypowiedź: królewicz nie nazwał Kopciuszka rozsądną kobietą, a już na pewno nie wtedy, gdy dziewczę przyjęło jego oświadczenia. Poza tym pobrali się z miłości, a nie dla dobra jakiegoś dziecka. Jej irytacja nie trwała jednak długo.

- Domyślam się, że starannie to rozważyłeś - rzuciła od niechcienia.

- Poniekąd.

- Co na to rodzina? Nie będą zaskoczeni?

- Będą zachwyceni, zwłaszcza kiedy poznają ciebie i Daniela.

Nie była przekonana.

- A znajomi? - Pomyślała o Mitchu Adamsie i jemu podobnych. Może powinna była zapytać o to, zanim wyraziła zgodę?

- Nie oni decydują, co mam robić. Nie martw się, będą tobą oczarowani.

- i jakby domyślając się źródeł jej niepokoju, dodał: - Nie oczekuję, że będziesz wydawać przyjęcia z dziewięciu dań dla pięćdziesięciu osób. Nie w pierwszym miesiącu małżeństwa.

- Przyznaję, że moje życie towarzyskie jest bardzo ubogie. - Poczuli się nieco pewniej. - Kiedy chcesz, no...? - Nie dokończyła.

- Kiedy weźmiemy ślub? Zaraz.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Widzisz jakieś przeszkody?

- Nie, ale...

- Pójdziemy do urzędu albo do pastora, ustalimy datę i po krzyku.

Prysło marzenie o długiej, białej sukni, „Marszu weselnym”, kościele pełnym przyjaciół i ogromnym torcie.

- Za tydzień? - spytał.

- Może być weekend po Święcie Dziękczynienia, pod koniec listopada - oznajmiła. Widząc jego pytające spojrzenie, dodała: - Naomi i Kirsten obiecały wtedy przyjechać. Chcę, żeby przy tym były.

- Niech będzie. Mamy wobec tego czas podjąć parę decyzji, wynająć gosposię.

- Gosposię? Rozejrzał się.

- Dopiero teraz słyszę, że w tej kuchni jest echo. - Spoważniał. - Oczywiście. Przecież jeżeli zostanę nagle wezwany do szpitala, a ty będziesz na dyżurze, nie zabiorę Daniela z sobą.

- To prawda.

- Mógłbym go podrzucić do naszego pracowniczego żłobka, ale może zdarzyć się i tak, że nie będę miał na to czasu. A jeśli będzie chory albo zapłakany?

- Masz rację. Czy to znaczy, że pozwolisz mi pracować?

- Tak, ale oczekuję, że Daniel będzie dla ciebie najważniejszy.

- To zrozumiałe. Ślub pod koniec tego miesiąca ma również tę dobrą stronę, że pierwszego grudnia odchodzę z pediatrii.

- Widząc jego zdumienie, pospieszyła z wyjaśnieniem: - To jest tylko zastępstwo. Wracam na nagłe wypadki.

Popatrzyła na Daniela. Jego entuzjazm dla kolacji wyraźnie słabł. Przymknął oczy i ssał już tylko od czasu do czasu.

- Jesteś tam lak krótko, a mnie się wydaje, że zawsze byłaś.

- Dziękuję za wotum zaufania.

- Chcesz odejść? - Poczula, że Tristan boi się jej odpowiedzi, i uśmiechnęła się.

- To nie jest sprawa tego, co ja chcę. Pracuję tam, gdzie mi każą.

- Mógłbym... Przykryła dłonią jego rękę.

- Nie chcę wykorzystywać faktu, że będę twoją żoną. Lubię jedno i drugie, a gdybym mogła wybierać, nie wiem, na co bym się zdecydowała.

- Roześmiała się. - Zapytaj mnie o to, kiedy odejdzie doktor Sullivan. Być może pod rządami nowych lekarzy zamarzy mi się inny oddział.

Daniel westchnął zadowolony, ostatni raz zamrugnął powiekami i ostatecznie wypuścił smoczek z buzi. Beth, widząc jego spokój, poczuła się potwornie zmęczona.

- Śpi jak kamień - stwierdził Tristan, stając za jej krzesłem.

- Zaniosę go do łóżka.

Wsunął rękę pod plecki śpiącego dziecka i znowu mimo woli dotknął jej piersi. Drgnęła, zelektryzowana tym muśnięciem, i gorąco zapragnęła bardziej konkretnej, fizycznej bliskości Tristana.

- Bethany, czy to cię peszy? Kiedy cię dotykam? - zapytał dopiero po chwili.

- Nie - odparła, mimo że czuła, jak drżą jej kolana.

- To dobrze.

Wziął Daniela na ręce i ruszył do jego pokoju. Nie mogła pójść za nimi. Potrzebowała chwili samotności, by dojść do siebie.

- Teraz ty - powiedział Tristan, gdy wrócił.

- Nie pójdę do łóżka. Wcale nie jestem zmęczona - zaprotestowała, chociaż z trudem udało się jej opanować ziewnięcie.

- W porządku, nie będę się upierał. - Przeszli do salonu. - Może telewizja cię uśpi.

Ku jej zdziwieniu usiadł tuż przy niej. Przez kilka minut z uwagą oglądała wiadomości CNN, lecz wkrótce poczuła się senna. Pamiętała jeszcze, że przyciągnął ją do siebie, i że gładził ją po policzku.

Obudził ją przenikliwy odgłos. Natychmiast zorientowała się, że to monitor Daniela. W tej samej chwili Tristan ruszył w stronę dzieciennego pokoju. Nim dotarła do drzwi salonu, usłyszała kwilenie dziecka. Wrócił Tristan.

- Wszystko w porządku. Monitor się odłączył. Mały już śpi.

- Zostanę w jego pokoju. - Podniosła się z miejsca.

- Nie - zaprotestował. - Idziesz do swojego łóżka.

- A jak nie usłyszę?

- To ja usłyszę - oznajmił. - Zostaję na noc.

Mimo że jego pomoc przy Danielu w trakcie jej rekonwalescencji była jej wręcz bezcenna, z niechęcią pomyślała o szpitalnych plotkach.

- A jeżeli ktoś będzie chciał skontaktować się z tobą?

- Widzisz coś niewłaściwego w tym, że dorosły mężczyzna przebywa w mieszkaniu swojej narzeczonej? - Pociągnął ją w stronę sypialni. - Marsz do łóżka - zakomenderował na odchodnym.

Rozwiązała pasek szlafroka. Odczeka chwilę, aż Tristan usadowi się przed telewizorem, i po cichu przejdzie do pokoju Daniela. W tej samej chwili, gdy miała wyjść z sypialni, zjawił się Tristan.

- Ale mnie przestraszyłeś.

- Dlatego, że nie jesteś jeszcze w łóżku. - Ściągnął koszulę i zaczął rozpinać spodnie.

- Co ty robisz?! - spytała, zapominając o zmęczeniu.

- Będę pilnował, żebyś stąd nie wyszła - obwieścił, ułożył się wygodnie i zapraszającym gestem uniósł róg kołdry. - No, proszę. - Zabrzmiało to tak łagodnie jak prośba osoby dorosłej skierowana do onieśmiałego dziecka. Beth tak właśnie się czuła.

Mając wrażenie, że jej zamię rozlewa się czerwoną plamą na szyi i obojczyku, zasłoniła je dłonią.

- Nie rób tego - upomniął ją.

Nie odrywając ręki, zacisnęła ją w pięść. Dopiero po chwili opuściła ramię i niepewnym krokiem ruszyła w stronę łóżka. Z jednej strony nie mogła się doczekać uroków małżeństwa, z drugiej jednak nie była pewna, czy dojrzała do nich emocjonalnie. Kocha go, oczywiście, ale jeszcze nie przyzwyczała się do myśli, że Tristan ma zostać jej mężem, nie wspominając już o nim w roli kochanka.

Jego przyjazne spojrzenie dodało jej otuchy. Nie jest wprawdzie piękna, ale nie budzi w nim odrazy.

Wsunęła się pod kołdrę. Pomyślała, że przyjemniej byłoby, gdyby była to pościel z jedwabiu, a nie z bawełny, i pachnąca różami, a nie środkiem zmiękczającym. Szkoda, że nie ma ustalonych reguł obowiązujących w takich sytuacjach.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak stary jest jej materac. Ciężar ciała Tristana sprawił, że od razu zsunęła się na niego. Chcąc odsunąć się nieco dalej, dotknęła jego przyrodzenia. Drgnęła. Tristan znieruchomiał.

- Nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł - zauważył zmienionym głosem. - Jesteś skłonna odbyć próbę naszej nocy poślubnej?

- Właściwie... - Zabrakło jej słów, a jednocześnie poczuła gorący dreszcz, który przeszył ją od stóp do głów.

- Czy ty już kiedyś...

- Nie.

Delikatnie ujął jej rękę i położył na swoim biodrze.

- Tak myślałem.

- Czy to ci przeszkadza? - Bała się odpowiedzi.

- Wcale nie - odparł spokojnie. - Śpij, Bethany. Uspokoila ją nuta zadowolenia w jego głosie. Przytuliła się utnie, wdychając niepowtarzalny zapach jego ciała. Nim zmorzył ją sen, uświadomiła sobie, że zawsze używał pełnej formy jej imienia: Bethany. Trzeba to wyjaśnić.

Napis nad drzwiami szpitala jaśniał w listopadowym mroku niczym światło latami morskiej.

- Denerwujesz się? - zapytał, wprowadzając ją do środka wejściem dla lekarzy. Pomógł jej zdjąć jej ukochaną, chociaż niezbyt wytworną kurtkę.

- Trochę - przyznała się, poprawiając kołnierzyk niebieskiej, jedwabnej bluzki.

- Nie warto. To idealna okazja, żeby ich poinformować o naszych zaręczynach.

Poprowadził ją do sali konferencyjnej, gdzie odbywało się pożegnalne przyjęcie doktora Sullivana. Nie uszły jej uwagi zaciekawione spojrzenia, lecz natychmiast je sobie wytłumaczyła: Tristan wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie.

Uśmiechnęła się na myśl, że wkrótce będzie nosiła jego nazwisko. Bez wątpienia los się do niej uśmiechnął.

Gwar przyjęcia powitał ich, nim dotarli do wypełnionej po brzegi sali. Gdy weszli, Tristan delikatnie pchnął ją w kierunku najważniejszej osoby tego wieczoru. Przywitał się z Sullivanem, nie zdejmując ręki z talii Beth.

- Szczęśliwej emerytury.

- Dziękuję - odparł radośnie Amos Sullivan.

- Jakie macie plany?

- Będziemy z Betty dużo podróżować. Myślę, że od czasu do czasu wezmę też jakieś zastępstwo. - Mrugnął porozumiewawczo. - Cieszę się, że widzę was razem.

Beth poczuła, że się czerwieni, Tristan natomiast postanowił, by wszyscy go słyszeli.

- Pobieramy się - powiedział całkiem głośno.

- Czułem, że coś z tego będzie. Gratuluję, - Zwrócił się do Beth: - Czy to znaczy, że szpital straci świetną pielęgniarkę?

- Chyba nie. Wracam na nagłe wypadki. Bez pana, doktorze, to już nie będzie to samo.

- Możliwe, ale czasami zmiany wychodzą na lepsze. Moi następcy są inteligentni, młodzi i mają mnóstwo nowych pomysłów. Tacy są potrzebni.

Gestem głowy wskazał dwóch mężczyzn, których Beth zobaczyła dopiero teraz.

- Zanim przeniesiesz się do domu spokojnej starości, pamiętaj, że trzeba było dwóch, żeby ciebie zastąpić - zażartował Tristan.

- Ty wiesz, jak pochlebić starcowi. Chodźcie, przedstawię wam nowych kolegów.

Lecz nim do nich dotarli, po drodze ktoś zatrzymał Tristana i Amos prowadził samą Beth. W oddali dostrzegła średniego wzrostu rudzielca i

sporo wyższego blondyna. Mimo że obaj byli równie przystojni i obaj po trzydziestce, zaintrygowały ją brązowe oczy tego drugiego

- Michael Knox i Jim Berkley. Przedstawiam panom Beth Trahern, najlepszą pielęgniarkę na nagłych wypadkach.

- W naszym szpitalu nie ma innych pielęgniarek - poprawiła go z uśmiechem. - Miło mi was poznać. Podobno jeden z was będzie u nas tylko przez kilka dni w tygodniu.

- To już nieaktualne - odezwał się jasnowłosy Berkley. - Zaproponowano mi cały etat, z tym, że będę dyżuruował w większość weekendów.

- To świetnie. W piątek i sobotę wieczór mamy zawsze urwanie głowy.

W ogólnym zamieszaniu ktoś zajął rozmową Michaela Knoxa, a jeszcze ktoś inny doktora Sullivana, tak że Beth została sam na sam z Jimem. Zostawić go samego w takiej chwili byłoby nietaktem, więc podjęła rozmowę.

- Rodzina dołączy później?

- Jestem kawalerem. - Zauważył, że Beth nie nosi na palcach żadnych ozdób. - A ty?

- Jestem zaręczona, ale jeszcze nie zdążyliśmy kupić pierścionka.

- Gratuluję.

Zabrzmiało to uprzejmie, aczkolwiek Beth wyczuła nutę lekkiego zawodu. Zaryzykowała.

- Nie chciała się tutaj przeprowadzić?

- Skąd wiesz?

- Kobięca intuicja.

Na jego wargach pojawił się wymuszony uśmiech.

- Zerwaliśmy kilka miesięcy temu. Przeżyłem przykrą niespodziankę, bo wydawało mi się, że wszystko jest na najlepszej drodze. - Westchnął. - Może to i dobrze...

- Jaka szkoda. - Położyła mu rękę na ramieniu.

- Sam nie wiem, dlaczego ci to powiedziałem.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Mam wrażenie, że jesteś do kogoś podobna.

- Bratnie dusze - rzuciła. Rozpromienił się.

- Chyba tak. Szkoda, że jesteś zajęta. Poczuli, że ktoś ją obejmują.

- Przepraszam, że cię opuściłem. Poznała zapach wody Tristana.

- Już się bałam, że zniknąłeś na zawsze.

- Wykluczone. - Podał dłoń Jimowi. - Tristan Lockwood.

- James Berkley.

- To właśnie Tristan jest moim narzeczonym - wyjaśniła. - Jest jednym z naszych pediatrów. - Mimo woli porównywała obu mężczyzn i chociaż Jim był bardzo przystojny, mogła patrzeć na niego ze spokojnym sercem.

- Szczęściarz - zauważył Jim.

- Dobrze o tym wiem. - Zbliżała się do nich grupka lekarzy z ordynatorem na czele. - Nie będziemy cię zatrzymywać.

- Cieszę się, że będziemy razem pracować, Beth - rzucił Jim na odchodnym.

- Wygląda na zanego człowieka - powiedziała, gdy Tristan wyprowadził ją w pobliże wyjścia.

- Niech się sprawdzi jako lekarz. Możemy już iść?

- Wydawało mi się, że chcesz tu zostać, dopóki nie wręczą Amosowi prezentu - zauważyła, zaskoczona jego zasadniczym tonem i raptowną zmianą tematu.

- Masz rację, trochę za wcześnie - rzekł nieco łagodniejszym tonem.

Przez następną godzinę obsypywano ją uśmiechami i życzo jej wiele szczęścia. Tristan nie odstępował jej na krok, jakby wyczuwał, że trudno by jej było podolać sytuacji. Na jakiś czas wczuła się w rolę szczęśliwej narzeczonej. Spochmurniała dopiero wtedy, gdy przypomniała sobie powód ich zaręczyn. Tristan nie wybrał jej dla jej zalet, lecz po to, by mieć syna.

Następnego dnia rano zadzwoniła Naomi.

- Ten tajemniczy facet nie pracował w Chicago - oświadczyła. - Sprawdziłyśmy mężczyzn z takimi inicjałami we wszystkich chicagowskich szpitalach, a także facetów w jakiś sposób związanych z medycyną. Nic nie mamy. Zaczynam wątpić, czy on w ogóle istnieje.

- Musi gdzieś być. Nie znaleźliśmy Daniela w kapuście.

- Może był tutaj przez kilka dni, jak Ellen? Nie znajdziemy go, nawet gdybyśmy wynajęły detektywa. Myślałaś o tym?

- Nie. Nie mam pieniędzy i nie wypada mi prosić o nie Tristana. Poza tym sąd też będzie go poszukiwał.

- Nie przejmuj się. Wątpię, żeby ten facet kiedykolwiek wystąpił do sądu o odebranie ci praw rodzicielskich.

- Miejmy nadzieję.

- Niedługo z prawnego punktu widzenia Tristan zostanie jego ojcem - przekonywała ją Naomi. - I, chociaż możesz mu powiedzieć o Ellen, ty będziesz jego matką.

- To prawda. Przyjedziesz na ślub? Odbędzie się w szpitalnej kaplicy.

- Jasne. Kirsten już pisze listę rzeczy, które mamy ze sobą zabrać. Do zobaczenia.

Beth odłożyła słuchawkę. Niepowodzenia Naomi uciszyły jej wyrzuty sumienia z powodu ich rodzinnych planów. Niepokoiło ją, co się stanie, jeżeli znajdzie się biologiczny ojciec dziecka. Teraz już może spać spokojnie.

Nucąc piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa, chyba po raz pierwszy w życiu ujrzała swą przyszłość w jasnych barwach.

- Pakujemy się, Danny. Pora ruszać do szpitala - zawołała wesoło.

O drugiej wyszli z domu, o wpół do trzeciej Beth już meldowała się na dyżurze.

- Nie zanosz się na nic szczególnego - poinformowała ją jedna z dziewcząt kończących dyżur. - Żadnych skomplikowanych ani tajemniczych przypadków. Żadnych stanów krytycznych. Paula Rossiter może ci trochę zawracać głowę, ale jutro czeka ją operacja kręgosłupa, więc nic dziwnego, że jest rozdrażniona.

- Czy wyjaśniłyście jej, na czym to polega?

- Rozmawiał z nią ortopeda. Pytałam, czy ma jakieś pytania, ale powiedziała, że wszystko wie.

- Na pewno przejęła się długotrwałą rekonwalescencją. Perspektywa spędzenia czterech tygodni w gipsie nikogo nie napawa optymizmem, a już na pewno nie dziecko.

- Powodzenia. Coś mi się wydaje, że Paula nieźle da ci w kość.

Postanowiła poświęcić dziewczynce więcej czasu i podzielić się z nią swoim optymizmem.

Jednak późnym wieczorem z wdzięcznością myślała o spokoju, jaki rzeczywiście panował na oddziale, Paula bowiem wzywała ją raz po raz.

- Dostanę koktajl mleczny? - jęknęła.

- Już piłaś - odparła Beth stanowczo. - Jesteś przed operacją, więc już nie wolno ci jeść. Przykro mi.

Z zaciętym wyrazem twarzy dziewczynka włączyła telewizor.

Beth sięgnęła po pilota.

- Wiem, że boisz się tej operacji, ale niczego nie zmienisz, jeżeli będziesz niedobra. Postaraj się o trochę optymizmu. To zazwyczaj pomaga.

- Będę tu siedzieć całymi tygodniami i wszyscy o mnie zapomną - mruknęła Paula.

Beth doznała olśnienia i przysiadła na łóżku.

- Prawdziwi przyjaciele nie zapomną o tobie i nie zostawią cię samej. Kiedy tylko się dowiedzą, że można cię odwiedzać codziennie i dzwonić niemal o każdej porze, przyjdzie ich tu tyle, że będziesz musiała załatwić sobie sekretarkę.

- Możliwe. - Otarła łzy.

W tej samej chwili w drzwiach pokazała się głowa jakiejś dziewczynki.

- Cześć, Paula. Możemy wejść?

- A nie mówiłam?! - ucieszyła się Beth.

Gdy wychodziła z pokoju, dziewczęta już się śmiały z jakiejś opowieści. Ledwie dotarła do stanowiska pielęgniarek, gdy zadzwonił telefon.

- Pediatria. Słucham.

- Tu Katie. Pamiętasz tego małego, który najadł się acetaminofenu?

- Toby'ego Weller?

- Tak. Zaraz u was będzie.

- Znowu jakieś tabletki?

- Nie, tym razem połknął monetę. Utknęła w przełyku.

- Niemożliwe!

- Naprawdę. Nie można go spuścić z oka.

- Przygotuję dla niego pokój.

- Słusznie. Powiem ci jeszcze, że doktor Berkley ma dzisiaj pierwszy nocny dyżur. Niezły facet.

Beth uśmiechnęła się. Zdaje się, że ten młody człowiek o smutnych oczach mocno poruszył wyobraźnię Katie.

- Muszę kończyć. Baw się dobrze.

Właśnie otworzyły się drzwi windy i Beth ujrzała rodziców Toby'ego. Na ich zmęczonych twarzach malowało się pytanie: co on jeszcze zbroi? Pielęgniarka przekazała Beth teczkę z dokumentami chłopca.

- Zaraz się państwem zajmujemy.

- Wiem, że można by pomyśleć, że go nie pilnuję, ale to nieprawda - broniła się pani Weller.

- Dzieci w tym wieku są bardzo ciekawe otoczenia - pocieszała ją Beth.
- Poznawanie świata ustami jest jednym z etapów procesu uczenia się.
- Zamiatam podłogę rano, w południe i wieczorem. Nie mam pojęcia, gdzie znalazł tego pensa.
- Nie ma pani kojca?
- Jeszcze nie, ale teraz na pewno go kupimy. Może w ten sposób przestanie zjadać te świństwa.

Beth zajrzała do teczki z dokumentami. Operację wyznaczono na rano, co znaczyło, że należy zacząć przygotowania. Już miała odłożyć dokumenty, kiedy coś ją w nich zastanowiło. Przeoczyła coś? Ponownie przeczytała zalecenia pisane ręką lekarza i sprawdziła jego podpis. Dr J.D.Berkley. Niczego nie przeoczyła/

Zamknęła teczkę. Gwałtowny przyпіływ adrenaliny sprawił, że serce zabiło jej młotem. Jeszcze raz przerzuciła papiery. Tym razem nie interesowała jej ich treść, lecz charakter pisma autora. Aż nadto dobrze jej znany. Zerknęła na podpis. Wcześniej nie zauważyła środkowej litery, teraz zobaczyła ją bardzo wyraźnie. To Berkley.

Poczuła ucisk w gardle. Niemożliwe, by Jim Berkley był ojcem Daniela. Czy na pewno?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Doświadczenie pozwoliło jej automatycznie wykonywać wszystkie wymagane czynności, całą jej uwagę bowiem pochłonęły rozmyślania o Danielu. Co robi, jak przeżyje, jeżeli jej przyjdzie go stracić?

To niemożliwe, by Jim Berkley był jego ojcem. Analizowała każde słowo, jakie padło podczas ich rozmowy, by doszukać się w nim jakiegoś klucza. Czegóż, co mogłoby potwierdzić lub wykluczyć jego ojcostwo. Na próżno. Jim nie powiedział nic, co wskazywałoby na to, że znał Ellen. Na pewno wyolbrzymia cały problem.

W żaden jednak sposób nie potrafiła pozbyć się nękających ją wątpliwości i postanowiła sprawę wyjaśnić do końca. W trakcie przerwy na kolację poszła na oddział nagłych wypadków. Zastała doktora Berkleya w pokoju pielęgniarek, gdzie pił kawę. Uśmiechnął się na jej widok.

- Toby już ulokowany na oddziale? Aby pokryć niepokój, nalała sobie kawy,

- Szczęście, że się nie udławił.

- Dzieci wszystko biorą do buzi - zaczął. - Miałem już pacjenta, który połknął baterijkę, a drugi sprężynę z łóżka. Nie zapomnę jednego przypadku z Chicago. Kiedy matka ubierała się na przyjęcie, córeczka połknęła kolczyk z brylantem. Co za noc! - opowiadał z zapałem. - Mamusia bardziej przejęła się losem kolczyka niż dziecka. Siedziała w poczekalni i niecierpliwie czekała, aż odzyska swoją biżuterię. Beth wpadł w ucho jeden wyraz.

- Pochodzisz z Chicago?

- Nie, z Dallas. Byłem w Chicago prawie rok temu. Kolega wyjechał w podróż poślubną i poprosił mnie, żebym go na dziesięć dni zastąpił.

Czas się zgadza.

- Twoja dziewczyna też była z Teksasu?

- Z Kansas City. Poznałem ją w Chicago. Przyjechała na seminarium archiwistyczne i dostała zapalenia gardła. Ktoś ją do mnie przyprowadził, żebym wypisał jej receptę. Okazało się, że mieszkamy w tym samym hotelu. Spotkaliśmy się kilka razy przy drinku, wymieniliśmy adresy.

Dopił kawę.

Beth przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Miała ochotę uciec stamtąd i udawać, że nie ma pojęcia o istnieniu jakiegoś Jima Berkleya.

- Polubiliśmy się. Kilka razy umówiliśmy się w Oklahoma City, w połowie drogi. Przedstawiłem ją nawet rodzime, więc wiedziała, że mam poważne zamiary. I nagle, ni stąd, ni zowąd, dostałem mit, że wszystko skończone. Szukałem jej, ale zmieniła pracę i gdzieś wyjechała. Jej ostatnia szefowa powiedziała, że przeprowadziła się do St. Louis. Wynająłem detektywa, ale jej nie znalazł.

- Ciągłe jej poszukujesz?

- Na razie czekam na jakiś nowy ślad. Myślę, że przestraszyła się mojej rodziny. Mogła pomyśleć, że nie pasuje do nas, a dla mnie nie miało żadnego znaczenia to, że nie pochodzi z rodziny, której drzewo genealogiczne sięga trzystu lat wstecz:

To, co mówił, brzmiało przekonująco: Ellen miała lekki kompleks niższości. W tej chwili podeszła do nich jedna z pielęgniarek.

- Doktorze Berkley, gabinet pierwszy przygotowany.

- Już idę. - Wstał. - Znowu musiałaś wysłuchiwać moich zwierzeń.

- Nie szkodzi. - Uśmiechnęła się blado. - Do zobaczenia, Jim.

- Słuchaj, przyjaciele nazywają mnie J.D., James Daniel. Nogi się pod nią ugięły. Wydawało się jej, że temperatura w szpitalu nagle spadła o trzydzieści stopni.

- Zapamiętam.

Wróciła na pediatrię, myśląc tylko o jednym. Los sprowadził ojca Daniela do tego miasta, burząc wszystkie jej marzenia i nadzieje, całą jej przyszłość. Straci nie tylko Daniela, ale i Tristana. Przecież powiedział, że już nie potrafi nikogo pokochać, a to w jej opinii oznaczało koniec ich weselnych planów.

Wytrzymała do końca dyżuru, udając, że nic się nie stało. Pozornie miała wszystko, ślicznego synka i przystojnego, zamożnego narzeczonego. Ona jednak odczuwała jedynie gorycz rozczarowania. Chciała jak najszybciej dostać się do domu, by tam w ciszy lizać rany.

Ułożywszy Daniela do snu, otuliła go kołderką pracowicie uszytą z kawałków jeszcze przez Ellen. Dłużej już nie mogła powstrzymać się od płaczu. Dlaczego musiał przyjechać akurat tutaj? Jest tyle miast w tym stanie i tyle w całej Ameryce. Dlaczego wybrał Mercer?!

Zastanawiając się nad kolejnym krokiem, odkurzyła całe mieszkanie, oprócz pokoju Daniela, i do połysku wysprzątała kuchnię; wyglądała teraz jak sala operacyjna.

W końcu zaczęła wyciągać wnioski. Mercer jest zbyt małą miejscowością, by udało się tutaj cokolwiek utrzymać w tajemnicy. Wszyscy znali Ellen McGraw i wiedzieli, że Beth adoptuje jej dziecko. Wystarczy, że Jim wspomni komuś o Ellen, i wszystko się wyda. Pozostało pytanie, czy ma mu o tym powiedzieć, czy pozwolić, by sam do tego doszedł?

Odrzuciła tę drugą możliwość. Musi powiedzieć prawdę doktorowi Berkleyowi... oraz Tristanowi. Ale kiedy i jak?

Chwilę później w drzwiach stanął Tristan.

- Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś.

- Co się stało? Coś niedobrego? Unikała jego wzroku.

- Usiądź. Muszę ci coś powiedzieć. Zaniepokojony, przysiadł na brzegu kanapy.

- Przypominasz sobie, jak sędzia powiedział, że sąd będzie poszukiwał ojca Daniela?

- Tak. Znaleźli go?

- Ja go znalazłam.

- Ty?

- Przypadkiem. Niedawno przyjechał do Mercer. To doktor Berkley. Tristan oniemiał.

- Jim Berkley? Jak to możliwe? Opowiedziała mu całą historię.

- Chce wziąć Daniela?

- Myślę, że tak. Jeszcze mu o tym nie powiedziałam. Chciałam najpierw porozumieć się z tobą.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Domyślałam się - rzekła, bacznie go obserwując.

- Zdaje się, że nie jest mi pisane życie rodzinne. - Jej także los nie sprzyjał. - To wszystko zmienia.

- Wiem. - Znowu poczuła przenikliwy chłód. Siedzieli w milczeniu.

- Kiedy rozwikłałaś tę zagadkę?

- Wczoraj wieczorem.

- Chcę być przy tym, jak mu to powiesz.

- Przyjdzie lada chwila. - Rozcierała ramiona. - Może go nie zechce?

- Wątpię. Ja bym nikomu nie oddał swojego syna.

Jim wpatrywał się w fotografię, którą mu podała.

- Nie żyje? - Nie ukrywał, że ta wiadomość nim wstrząsnęła.

Opowiedziała mu prawie wszystko, kończąc na tym, jak wpadła na trop, że J.D., autor listów do Ellen, to właśnie on.

Siedział teraz zrozpaczony i zrezygnowany. Nie miała już żadnych wątpliwości co do uczuć, jakie ten człowiek żywił wobec Ellen.

Ponad jego pochylonymi plecami zerknęła na Tristana. Gdy skinął głową, wbrew sobie zaczęła:

- Ellen zostawiła coś cennego. - Ujęła jego dłoń. - Syna. Twojego syna.

Jim uniósł głowę. Miał wilgotne oczy.

- Była w ciąży? Beth przytaknęła.

- Chłopiec przyszedł na świat nieco przed czasem, ale Tristan wyprowadził go ze wszystkich problemów. Daniel jest zdrowy.

- Daniel?

- Ellen wybrała dla niego imiona Daniel James.

- Mam syna... Gdzie on jest?

- Pierwsze drzwi po lewej stronie. Rozległo się brzęczenie pagera Tristana.

- Muszę was opuścić - zwrócił się do niej półgłosem. - Poradzisz sobie?

- Tak. Poza tym niedługo jadę na dyżur.

- Wobec tego wkrótce się zobaczymy.

Pożegnała Tristana i stanęła w drzwiach dziecinnego pokoju. Jim, lub inaczej J.D., wpatrywał się w maleństwo z takim uwielbieniem, że poczuła ból w sercu. Jedno stało się dla niej pewne: Danielowi nie zabraknie miłości.

- Śliczny, prawda? - szepnęła.

J.D. delikatnie klepnął Daniela w wypiętą pupę, po czym wyszedł za nią z pokoju.

- Wspaniale nim się opiekujesz. Doceniam to. Mam nadzieję, że nie okaże się gorszy.

Nie ma mowy, by zostawił dziecko jej i Tristanowi.

- Zamierzasz nim się zająć?

- Oczywiście. Wyobrażałaś sobie, że mógłbym...

- Niczego sobie nie wyobrażałam. - Wzruszyła ramionami. - Zwłaszcza że Ellen mnie wybrała na opiekuna Daniela.

- Doceniam wasz gest, ale to jest mój syn i chcę z nim być. On jest wszystkim, co mi pozostało po Ellen.

- Rozumiem.

Mogłaby jeszcze walczyć, ale życie nauczyło ją rozpoznawać sytuacje, w których należy z walki zrezygnować. Ta była jedną z nich.

- Będziecie mieli swoje dzieci.

Przecież nie powie mu, że ich związek zależał od Daniela. Powód do zawarcia małżeństwa przestał już istnieć.

- Być może.

- Nie możesz mieć dzieci?

- Nie o to chodzi. - Zastanawiała się, co mu powiedzieć. Postanowiła, że będzie szczerą. - Postanowiliśmy się pobrać ze względu na niego. Oboje chcieliśmy mieć rodzinę. Tristan stracił żonę i dziecko w wypadku. To był najlepszy sposób spełnienia naszych pragnień.

- Wy się nie kochacie? - zdumiał się Jim.

- Najważniejszy był dla nas Daniel. J.D. ściągnął brwi.

- Podczas przyjęcia odniosłem wrażenie, że Tristan wyraźnie cię pilnuje. Jesteś pewna, że właściwie odczytujesz jego intencje?

- Jestem pewna. - Woląla zmienić temat. - Skontaktuję się z moim adwokatem i dowiem się, co będzie potrzebne do załatwienia tej sprawy.

- Muszę poszukać innego mieszkania - stwierdził Jim. - Czy do tej pory Daniel może mieszkać u ciebie?

- Oczywiście. Zabierz wszystkie jego rzeczy. Nie są zbyt wytworne, ale to Ellen je wybierała.

- Gdybyście się rozstali... Czy rozważyłabyś wtedy możliwość zamieszkania ze mną?

- Słucham?

- Żeby opiekować się Danielem, jako jego opiekunka. Moglibyśmy się pobrać, gdybyś zechciała - ciągnął. - Wywiązałabyś się w ten sposób z obietnicy danej Ellen.

W jednym tygodniu dwóch starających się o jej rękę. Kusząca propozycja. Aż nadto kusząca. Mimo to nie miała problemu z podjęciem decyzji. Musi kierować się prawdą. Przyjęła oświadczenia Tristana, ponieważ go kocha. Troska o Daniela to istotny element, ale z tym poradziłyby sobie bez jego pomocy. JD. jest sympatyczny, ale nie jest Tristanem.

- Mogę wam pomagać - uśmiechnęła się, żeby złagodzić swoje słowa - ale nie mogę z tobą mieszkać.

Podszedł do niej blisko.

- Jesteś tego pewna? - Położył jej dłonie na ramionach, najwyraźniej czekając, by zaprotestowała.

Nie drgnęła. Najpierw delikatnie musnął wargami jej policzek, po czym pocałował ją w usta. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. To nie to samo co pocałunki Tristana. Ten przypominał raczej pocałunek przyjaciół rodziny, może brata... Był przyjemny, ale pozbawione żaru i namiętności, których pragnęła i oczekiwała.

Odsunął się od niej.

- Przykro mi. - W duchu błagała Ellen o przebaczenie. - Zostańmy przyjaciółmi.

- Spodziewałem się tego. Ale gdybyś zmieniła zdanie... Pokręciła głową.

- Nie.

Poznawszy już namiętność, nie przystanie na nic innego.

Znowu znalazła się w sali sądowej wraz z sędzią Wintersem. Nie słuchała, co mówił. Wiedziała, że wraz z uderzeniem jego młotka Daniel przestanie należeć do niej. Dane jej było odgrywać rolę matki dokładnie przez jeden miesiąc.

Od dnia, kiedy J.D. złożył jej propozycję małżeństwa, nie przestawała słyszeć obietnicy, którą dała ukochanej przyjaciółce. Zawiodła ją. Może powinna była się zgodzić? Niewątpliwie łączyła ją z J.D. nie sympatii. Może przyjaźń jest równie istotna?

Uderzenie młotka wyrwało ją z zadumy. Od tej chwili Daniel przechodzi pod opiekę swego ojca. Wyjęła dziecko z nosideł i mocno przytuliła do piersi. Chłopiec zakwilił.

- To jest twój tatuś. Bądź szczęśliwy. - Pocałowała go w główkę, wdychając rozkoszny zapach niemowlęcia. Jeszcze nie raz weźmie go na ręce, przewinie i nakarmi, ale już nie jako jego matka.

Podążyła Daniela Berkleyowi.

- Nie znikniesz z jego życia, Beth - szepnął J.D. - Byłaś najlepszą przyjaciółką jego matki.

- To dla mnie bardzo ważne - odparła, przygryzając wargi, żeby się nie rozplakać. - Przyjedź po jego rzeczy - powiedziała i wybiegła z sali.

Na schodach wpadła na Tristana.

- Chciałem być wcześniej, ale mieliśmy skomplikowany przypadek.

- Dziękuję. Już po wszystkim. - Wzruszona jego troską, nie mogła wydobyć głosu.

- Czujesz się tak, jakby umarł ci ktoś bardzo bliski, prawda?
Przytaknęła, nieco zdziwiona trafnością tego porównania.

- Daniel był także mój.

- Teraz jest Berkleya. Wszystko wraca do normy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Wyprostowała ramiona i wysoko uniosła głowę.

- Nie ma potrzeby, żebyśmy się pobierali. Nie mamy już powodu.

- Nie musimy dzisiaj podejmować tej decyzji - rzekł po chwili milczenia.

- Po co odwlekać to, co nieuchronne.

- Jesteś przekonana, że tego chcesz?

Nie, krzyknęło jej serce. Chcę, żebyś mnie kochał. Chcę, żebyśmy stali się prawdziwą rodziną.

- Tak będzie lepiej. - Poczowała, że zbliża się do granicy wytrzymałości. - Muszę już iść. - Powstrzymując łzy, zbiegła do samochodu.

Po dyżurze w środę wsiadła do samochodu i po trzech godzinach jazdy była już w Kansas City, u swych przyjaciółek. Nie chciała być sama w dniu Święta Dziękczynienia, zwłaszcza teraz, gdy legły w gruzach jej piękne sny.

- Nie trzeba było mówić prawdy Berkleyowi - zwierzyła się Naomi i Kirsten, nękana wątpliwościami. - Przecież mógłby nigdy nie dowiedzieć się o Ellen.

Naomi objęła ją ramieniem.

- Pomyśl trzeźwo. Mogło by ci się to udać w Kansas City, ale nie w takiej miejscinie jak Mercer. Wiele osób znało Ellen albo słyszało o niej lub o tym wypadku. W końcu sprawa wyszłaby na jaw. - Ton głosu Naomi nieco złagodniał. - Znam cię. Nie potrafiłabyś żyć z taką tajemnicą. Codziennie zastanawiałabyś się, czy J.D. już zna prawdę. A gdyby ją poznał, mógłby przestać być taki sympatyczny.

Skrzywiła się. Dobrze, że nie zabronił jej przyjaciółkom odwiedzać Daniela.

- Niedawno przywieźli na oddział dwunastoletniego chłopca z cukrzycą, w stanie śpiączki - zaczęła Kirsten. - Odkrył, że matka izolowała go od ojca, twierdząc, że zmarł wkrótce po rozwodzie. Żeby ją ukarać, nie wziął insuliny i zjadł kilka batoników. Odratowaliśmy go, ale czeka go jeszcze sporo przejść zupełnie nie związanych z cukrzycą. Chyba nie chciałabyś, żeby Daniel zrobił podobny numer.

- Wiem, że postąpiłam słusznie, a mimo to jest mi ciężko. Mam wrażenie, że zawiodłam Ellen.

- Zrobiłaś, ile mogłaś. Nie oczekiwała od ciebie niczego więcej.

- Odpocznij. Wrócisz do domu i wszystko będzie dobrze. Trudno jej było w ta uwierzyć.

Odchylił się w fotelu, sięgnął do kieszeni po gumkę recepturkę i wycelował w ołówkę, stojący pionowo w pojemniku. Łatwy cel. Mimo to nie trafił. Nic dziwnego, cały ten weekend był zdecydowanie nieudany.

Plany weselne rozplynęły się z powodu braku panny młodej. Prawdę mówiąc, był to najgorszy weekend w jego życiu od śmierci Elise. Niecierpliwie wyczekiwał poniedziałku, by zająć się pacjentami.

Szukał nowej gumki w szufladzie. Znalazł ich aż kilka.

Zaskrzypiały drzwi.

- Dzwoni jakaś doktor Naomi Steward. Odbierze pan, czy mam powiedzieć, że oddzwoni pan później? - zapytała pielęgniarka.

- Odbiorę. - Zastanawiał się, czego może od niego chcieć koleżanka Beth. Strzelił z gumki i znowu spudłował. - Lockwood, słucham?

- Znalazłam dzisiaj pewne wyniki badań. Pomyślałam, że powinien pan je poznać, zwłaszcza że dotyczą Daniela.

- Jakich badań? - zainteresował się.

- Wynika z nich, że we wczesnej ciąży Ellen zrobiła sobie badanie na poziom alfafetoprotein. Ich poziom jest zdecydowanie niski. Jej położnik powtórzył badanie. Z takim samym wynikiem. Nie zgodziła się na amniocentezę.

- Interesujące - zauważył.

Badanie to miało spore znaczenie dla położników. Za wysoki poziom alfafetoprotein sugerował możliwość wystąpienia takich komplikacji jak spina bifida, podczas gdy za niski chorobę Downa. Lecz jak wiele innych badań, jego wyniki nie były ostateczne. Takim pacjentkom proponowano dodatkowo amniocentezę. Lecz Daniel okazał się normalnym, zdrowym dzieckiem. Ellen miała wątpliwy zaszczyt znaleźć się wśród wyjątków.

- Uznałam, że powinien pan o tym wiedzieć. Mogę przesłać panu kopię tych wyników.

- Będę wdzięczny. Czy wie pani, że odnalazł się ojciec Daniela?

- Beth była u nas i nam o tym powiedziała. Zastanawialiśmy się nad motywami Ellen i nie doszliśmy do żadnych konstruktywnych wniosków. Ale teraz, kiedy znalazłam te wyniki, sprawa zaczyna nabierać sensu.

- Jak to?

- Obawiając się, że dziecko będzie chore oraz biorąc pod uwagę swoje pochodzenie, bała się, że J.D. ją odtrąci. Żeby mieć pewność, że tak się nie stanie, odtrąciła go pierwsza. Wielka szkoda. Wszystko mogło inaczej się ułożyć.

- To bardzo prawdopodobne. - Zawahał się. - Jak Beth? Próbowałem się z nią skontaktować...

Urwał. Skoro nie ma okazji porozmawiać z nią teraz, kiedy jeszcze pracuje na jego oddziale, będzie to zupełnie niemożliwe, kiedy wróci na nagłe wypadki.

- Jest wykończona psychicznie, ale to było do przewidzenia - Naomi zawiesiła głos. - Znam ją i wiem, że w pewnych sytuacjach zachowuje się jak Ellen. Wiem, że to nie moja sprawa, ale chyba rozumie pan, co mam na myśli?

Przypomniał sobie okoliczności, kiedy Beth przepraszała go za winy, których on nawet nie zauważył.

- Rozumiem. Zerwała nasze zaręczyny, żebym ja tego nie zrobił.

- Podejrzewam, że tak właśnie było. Pozostaje pytanie, na które nie oczekuję odpowiedzi: czy chce pan to naprawić.

- Dziękuję za wskazówkę.

Po tej rozmowie poczuł się znacznie lepiej, lecz nim zabrał się do obmyślenia planu działania, do gabinetu ponownie weszła Maeve.

- Przyszedł doktor Berkley.

- Wprowadź go.

Chwilę później J.D. siedział już w fotelu.

- Chciałem ci podziękować za to, co zrobiłeś dla Daniela. Wiem o wszystkim od Beth.

- Przyjmij ode mnie wyrazy współczucia z powodu śmierci Ellen. Daniel jej nie zastąpi, ale będzie dla ciebie pewną pociechą.

- Już jest. Nawet nie wiesz, jak wielką. Chociaż może wiesz - zawahał się. - Przyszedłem, żeby zapytać cię, czy zechcesz nadal być jego lekarzem. Zrozumiem, jeżeli mi odmówisz.

Tristan sięgnął po kolejną gumkę i zaczął się nią bawić.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ważniejsze jest to, czego ty chcesz.

J.D. uśmiechnął się.

- Chcę, żeby pozostał pod twoją opieką. Nie sprawi ci to przykrości?

- Nie. On jest najważniejszy.

- Beth przewidziała taką odpowiedź - stwierdził J.D. poważnie.

- Naprawdę?

- Kiedy dowiedziałem się, że zerwaliście, zaproponowałem jej, żeby z nami zamieszkała.

Tristan poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Co ten facet sobie wyobraża? Beth zgodziła się zostać jego żoną! Jednocześnie przypomniał sobie tę scenę w sądzie, kiedy zerwała zaręczyny.

Wściekłość ustąpiła miejsca strachowi. Czy słowo dane Ellen jest dla Beth ważniejsze niż obietnica złożona jemu? Z trudem zapanował na emocjami.

- Zgodziła się?

- Ma to przemyśleć. - J.D. podniósł się z fotela. Pacjenci czekają. Nie będę zabierał ci czasu. Zobaczymy się jeszcze.

Po wyjściu J.D. Tristan zastanawiał się nad swą pustą przyszłością. Teraz, kiedy Daniel i Beth, szczególnie ona, opuścili go, życie wydało mu się pozbawione sensu. Zaciśnął pięści. Tamte mroczne czasy nie wrócą. Nie pozwoli na to.

Po chwili poczuł przypływ energii i wezwał Maeve.

- Poproś pierwszą osobę.

Zaskoczona podała mu kartę. Przebiegł wzrokiem zawarte w niej informacje. Im prędzej upora się z pacjentami, tym wcześniej będzie mógł spotkać się z Beth. Jeżeli woli Berkleya, niech tak będzie, ale on nie podda się bez walki.

Fala chorych z infekcjami dróg oddechowych sprawiła, że Beth nie miała ani chwili, by pomyśleć o własnych problemach. Na dodatek z powodu zaistniałej sytuacji odłożono na później jej powrót na nagłe wypadki.

- Od trzech dni usiłuję się z tobą skontaktować. Musimy porozmawiać - oświadczył Tristan, gdy szykowała łóżeczko dla kolejnego dziecka.

- W sprawie insuliny dla małego Stephensa? - zapytała, udając, że nie wie, o co mu chodzi. - Już zrealizowałam twoje zalecenia.

- Nie mam na myśli pracy. Chcę porozmawiać o nas.

- Nie ma o czym mówić. Poza tym w tej chwili nie mogę. Mam nowego pacjenta z wirusowym zapaleniem płuc.

- Za dużo pracujesz. Zauważyłem, że od powrotu z Kansas City bierzesz podwójne dyżury.

- Nie ja jedna - zauważyła, szykując łóżeczko. - Grypa dziesiątkuje także personel, więc ci zdrowi biorą dodatkowe dyżury.

- Niedawno sama byłaś chora. Musisz się oszczędzać. Chyba nie chcesz nawrotu?

- Nic mi nie będzie.

- Masz podkrążone oczy. Obiecuj mi, że po tym dyżurze nie zostaniesz na następny.

- Obiecuję. - Jego troska wprawiła ją w zakłopotanie. - Poza tym to jest mój drugi dyżur, a trzech nie wolno nam brać.

- Dzięki Bogu - szepnął. Chciała go wyminąć, ale chwycił ją za rękę. - Nie podejmuj żadnych decyzji w sprawie Berkleya, dopóki nie wysłuchasz tego, co ja mam ci do powiedzenia. Zgoda?

Zaskoczona żarliwością tej prośby, przytaknęła. Nawet nie mogła nad nią lepiej się zastanowić, ponieważ już wnoszono chore dziecko.

Jeszcze przez kilka godzin zwiјаła się jak w ukropie, w końcu jednak zjawiła się jej zmienniczka i Beth nareszcie była wolna.

Przystanęła na progu szpitala, by lepiej otulić się kurtką. Z przyjemnością wdychała świeże, jesienne powietrze. Już miała ruszyć przed siebie, gdy z mroku wyłoniła się jakaś postać. Rozpoznała ją natychmiast. Prawdę mówiąc, spodziewała się tej konfrontacji, chociaż wolałaby, żeby doszło do niej nieco później, kiedy będzie w lepszym stanie fizycznym i psychicznym.

- Kocham cię, Beth.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie myślała, że kiedykolwiek usłyszy to z jego ust. Była oszołomiona i jednocześnie czuła wyrzuty sumienia, bo specjalnie ociągała się z wyjściem ze szpitala. Spodziewała się, że będzie na nią czekał i liczyła, że w końcu znudzi się i pojedzie do domu.

- Wiem, że kochasz Daniela - zaczął - i wiem, że chcesz dotrzymać słowa danego Ellen, ale błagam, nie przeprowadzaj się do Berkleya.

- Skąd wiesz, że mnie o to poprosił?

- Sam mi to powiedział. Poza tym rozmawiałem z Naomi.

- Z Naomi? O czym?

- Naomi wpadła na trop przyczyny, dla której Ellen z nim zerwała. Miała złe wyniki próby AFP, ale to był fałszywy alarm. Bała się, że z tego powodu J.D. ją odtrąci, wobec tego pierwsza z nim zerwała. - Podszedł bliżej, wsuwając ręce do kieszeni płaszcza. - Kierowałaś się tą samą obawą, zrywając nasze zaręczyny. Odtrąciłaś mnie, żebym ja tego nie zrobił.

Wpatrywała się w chodnik.

- Powiedziałeś, że to dla dobra Daniela. Powiedziałeś również, że już nikogo nie pokochasz jak Elise. To Daniel nas połączył. Bez niego straciliśmy szansę.

- Czy... zależy ci na niej?

- Bardziej niż na czymkolwiek innym. Ale kiedy dowiedziałeś się o ojcostwie J.D., stwierdziłeś, że to wszystko zmienia.

Patrzył przed siebie.

- Powiedziałem tak, ale zrozumiałaś mnie opacznie. Już dawno chciałem założyć rodzinę, zachowując swoją tajemnicę dla siebie. Teraz uważnie przeanalizowałem swoje motywy. Poznałem Elise jeszcze w szkole i od pierwszej chwili między nami coś zaiskrzyło. Nasze życie było wspaniałe. Chciałem to powtórzyć, zacząć od tego punktu, w którym się przerwało. Tym razem jednak poczułem, że nie przeżyję bólu rozstania. Ty... stopniowo zawładnęłaś moim sercem. Próbowałem stłumić swoje uczucia, udając, że interesuje mnie wyłącznie Daniel, ale tak naprawdę pragnąłem również ciebie.

Osunęła się na betonową ławkę.

- Jesteś pewien?

Przykucnął przed nią i ujął jej zziębnięte dłonie.

- Absolutnie. Po tym incydencie na schodach w sądzie chciałem postąpić szlachetnie i pozwolić ci odejść. Ale kiedy pojawił się Berkley, poczułem, że nie potrafię tak łatwo rozstać się z tobą. Przyznam ci się, że byłem o mego zazdrosny już podczas bankietu pożegnalnego Amosa.

- Niemożliwe.

- Owszem. Bardzo nie spodobał mi się pomysł, że masz wrócić na nagłe wypadki. Wiedziałem, że nie będę miał większych szans, jak odejdziesz z pediatrii, za to on będzie z tobą codziennie.

- Czy to ty spowodowałeś, że na razie nie odchodzę?

- Poniekąd. Poprosiłem przełożoną, żebyś została na pediatrii, aż minie epidemia grypy. Nie oponowała.

- Nie do wiary. - Nadeszła chwila, by zadać pytanie, które dręczyło ją od dawna. - Dlaczego zawsze nazywałeś mnie Bethany, a nie Beth?

- Bo chciałem zachować dystans. Bałem się, że jeśli nie będę miał się na baczości, zakocham się w tobie. I tak się stało.

Łzy szczęścia potoczyły się jej po policzkach. Otarł je palcem.

- Jedynym powodem, dla którego przyjąłem twoje oświadczenia - szłochała - było to, że cię kocham. Z dzieckiem poradziłabym sobie sama, ale chciałam, żebyś ty był z nami.

Uśmiechnął się.

- Czy to znaczy, że ty i Berkley nie...

- Od razu mu odmówiłam. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym być z nim, skoro chciałam być tylko z tobą. Dręczyło mnie straszne poczucie winy, że łamię obietnicę daną Ellen. O mało się nie załamalam. Kiedy J.D. zaprosił mnie do swojego domu, wiedziałam, że nie będę szczęśliwa. J.D. jest wspaniałym człowiekiem, będzie cudownym ojcem, ale ja marzyłam o tym, żeby w czyimś sercu zajmować najważniejsze miejsce.

Pomógł jej wstać, po czym ją objął.

- Dla mnie jesteś najważniejsza. Dopóki nie będziemy mieli dzieci, całe moje serce będzie należało do ciebie. Odpowiada ci to?

Przytuliła się mocniej do jego piersi i pokiwała głową.

- Skoro mu od razu odmówiłaś, to dlaczego mi powiedział, że jeszcze się zastanawiasz? - zadumał się Tristan.

- Może uważa, że za przysługę należy się przysługa?

- Możliwe. - Ujął jej głowę, by spojrzeć jej w oczy. - Wyjdiesz za mnie? Nie dla Daniela, ale dla siebie?

- Tak.

Poczuła na wargach jego gorący pocałunek.

- Jazda stąd! - usłyszeli głos nocnego wartownika. - Idźcie do domu. To jest szpital, a nie aleja zakochanych. - Stróż oddalał się, mrużąc coś na temat dorosłych, którzy powinni wiedzieć, jak należy zachowywać się w miejscach publicznych.

- Kazał nam iść do domu - powiedział Tristan. - Co ty na to?

- Pan doktor zawsze ma rację - odparła rozpromieniona.

- Gotowa? - zapytała Naomi, poprawiając tren sukni Beth.

- Jasne.

- Tristan chyba stanął na głowie, żeby to wszystko załatwić tak szybko - skomentowała Kirsten. - W święta jest najwięcej ślubów.

Beth uśmiechnęła się.

- Nie przeczę. Uparł się, żebyśmy się pobrali w tym miesiącu. Mnie też na tym zależało.

Zabrzmiała muzyka. Naomi i Kirsten występowały w roli druhen. Wkrótce organista zagrał utwór, który Beth już tyle razy słyszała w marzeniach.

Szła nawą ku przystojnemu mężczyźnie, który czekał na nią przy ołtarzu. Nie widziała tłumu gości, którzy zebrali się w kaplicy, ani czerwonych poinsecji i świec migoczących w głębi. Kątem oka dostrzegła Daniela na rękach J.D.

Tristan ujął ją pod ramię i razem stanęli przed kapelanem.

Nie posiadała się ze szczęścia. Z radością złoży mężczyźnie u swojego boku ten dar w postaci przysięgi dozgonnej miłości. Przecież czekała na niego całe życie.